ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 23 września 1934 r. | Nr. 39

Giovanni Papini

Talent

W najbliższym czasie ukaże się książka Giovanni Papiniego „Skończony człowiek" w doskonałym przekładzie dr. Edwarda Boyé. Z książki tej wyjmujemy fragment poniższy (Red.).

Ludzie szepcą dokoła, że ja mam talent. Miłe głuptasy sądzą widać, że temi słowami czynią mi wielki zaszczyt i sprawiają ogromną przyjemność. Niektórzy twierdzą nawet, że mam wielki talent, że jestem obdarzony ogromnym talentem. Ci właśnie poczytują się za ludzi mi najbliższych, za ludzi, którzy mnie prawdziwie kochają.

Dziękuję wam serdecznie, drodzy poczciwcy, niechże Bóg was za wszystko szczodrze wynagrodzi. Róbcie i mówcie to, co robić i mówić chcecie, przezwyciężajcie nawet swoją miłość własną i moje grubjaństwo. Czyż jednak między wami nie znajdzie się ktoś, ktoby zdał sobie sprawę z tego, do jakiego stopnia mnie obraża tem „utalentowaniem?"

Do stu djabłów z waszym talentem! Cóż to jest ten talent? Czyż doprawdy na serjo przypuszczacie, że ja zadowolę się tem, iż do samej śmierci będę człowiekiem utalentowanym — młodzieńcem, rokującym piękne nadzieje, miłym, dowcipnym kolegą, umiejącym zainteresować publiczność? Za kogóż wy mnie bierzecie, na miłosierdzie boskie? Czy moja twarz podobna jest do uśmiechniętej twarzy człowieka, który się kontentuje tem, co posiadają wszyscy i jest szczęśliwy, gdy ma na języku dziesięć idej, a w kieszeni sto franków? Czy nie spostrzegliście, złowieszcze sroki, że talent — to zwykły, najzwyklejszy towar, spotykany na ludzkich jarmarkach. Zwłaszcza we Włoszech! Powiedzcie mi, kto w tym szczęśliwym, błogosławionym przez bogów kraju, nie ma talentu? Jeśli mi takiego pokażecie, zapłacę wam tyle srebra, ile on sam waży. Talent, moi prostaczkowie, biega tutaj po ulicach, napełnia domy, nawadnia książki, wylewa się ze wszystkich ust.

— Jakiż utalentowany chłopiec! Szkoda tylko, że nie chce się wziąć do żadnej pracy.

— To złodziej, oszust, krętacz, ale jakże utalentowany człowiek.

— Zgadzam się z tobą, że mówi straszne głupstwa, ale przecież nie możesz zaprzeczyć, że ma wielki talent.

Oto słowa, które się słyszy we Włoszech codziennie, na wszystkich ulicach, we wszystkich domach i we wszystkich knajpach, wszędzie tam, gdzie spotykają się tak zwani ludzie inteligentni. Kto umie ułożyć piosenkę o miłej kadencji i o możliwych rymach — ten ma talent. Talent ma także ten, kto potrafi akwarelą wymalować kwiateczki, wydające się „jak żywe", talent ma ten, kto subtelnie uderza w klawisze fortepianu, stojącego przed gipsowem popiersiem Beethovena. Utalentowany jest także i ten, kto z pewną łezką i wdziękiem potrafi opisać klęskę trzęsienia ziemi. Utalentowani są rzeźbiarze, wyrabiający figurki z kasztanów indyjskich i dyletanci - wróżbiarze, którzy eksploatują cudzy umysł, obracając w dym zarówno idee, jak i hawańskie cygara.

Pytam się was raz jeszcze: kto u nas niema talentu? Nawet i ci, którzy nic nie robią, posiadają talent — posiadają go także politycy... a nawet i dziennikarze...

Powiedzmy sobie raz na zawsze szczerze: kto mówi, że mam talent, obraża mnie. Kto mówi, że jestem człowiekiem utalentowanym, wyrządza mi wielką krzywdę.

Nie potrzeba mi waszego talentu! Wieszam go wraz z gazetą na gwoździu w klozecie. Mówię wam wyraźnie: talent dla mnie, to tylko wyższy stopień przeciętności. Talent — to wyższa forma umysłu, którą wszyscy są w stanie rozumieć, oceniać i lubić. Talent — to przyjemna w smaku mieszanina, przypadająca do gustu damom, profesorom, adwokatom, światowcom, ludziom wykształconym, jednem słowem wszystkim, którzy przebywają między niebem a ziemią, piekłem a rajem, w jednakowej odległości, zarówno od bydlęcia, jak i od genjusza.

Patrzajcież, co mi do głowy przyszło! Talent w dialekcie toskańskim oznacza nie tylko umysł więcej niż przeciętny, ale ma także jeszcze i inne znaczenie. Jest to ów żelazny ząb u dołu klucza, służący do otwierania zamków. Te dwa pojęcia są bliskie sobie, nie tylko ze względu na to, że sąsiadują w słownikach. Talent, to właśnie to, co odkrywa. Mając talent można się wszędzie dostać, można rozumieć prawie wszystko, można się wielu ludziom podobać. Talent — to paszport życiowy, to wytrych uniwersalny, otwierający drzwi giełd, na których stwarza się sobie pozycję. Jeden ma talent tworzenia pięknych rzeczy, inny talent wmawiania ludziom, że jego złe utwory są dobre. Są to dwa różne rodzaje talentów, lecz ich właściciele jednakowo zarabiają na nich. Niech ich tam Pan Bóg kocha! Niech zarabiają, bawią się i zabawiają wszystkich, ci ludzie utalentowani! Nie należę do ich grona i za nic należeć nie chcę!

Chociaż staracie się usilnie ogłupić mnie, mnie, jak dawniej, podobają się krańcowości. Jeżeli chodzi o żywe istoty, odnoszę się przyjaźnie tylko do ludzi, żyjących życiem zwierzęcem i idealnie wegetacyjnem, tylko do tych, którzy spełniają uczciwie swój trud, nie mędrkując, nie obnosząc się ze swemi pretensjami, nie szczebiocząc uprzykrzenie — albo też do prawdziwego genjusza, wielkiej duszy, olbrzymiego bohatera, tak samotnego, jak góra w nocy.

Albo prostak, albo Dante — do djabła z wszystkimi innymi, z ludźmi utalentowanymi, dowcipnymi, zdolnymi, z nienawistnymi mi inteligentami! Kimże oni są wobec brudnego chłopca, który młóci zboże poto, abyśmy jedli chleb, lub też wobec poety, wyszarpującego z wnętrzności swoich słowa, zdolne wstrząsnąć myślą tysiąca pokoleń.

Cóż wy tworzycie? Słowa i słowa, mistyfikacje i zabaweczki!

Co się mnie tyczy, to ja już wybór zrobiłem. Nie mógłbym, gdybym nawet chciał, stać się drzewem lub prostym oraczem, jednakże pragnę, rozpaczliwie pragnę, stać się człowiekiem, a nawet — powiedzmy otwarcie to słowo, budzące dreszcz trwogi — genjuszem! Jeśli padnę w połowie drogi, nie osiągnąwszy realizacji mego pragnienia, pogodzę się bez szemrania ze smutnym losem moim, będę opłakiwał siebie, ale nie sprostytuję się z tymi, którymi pogardzam. Umrę samotnie, w jakimś zakątku świata, jak ten dzielny wilk De Vigny! Nigdy, za nic się nie upokorzę! Pewien jestem, że nawet nie osiągnąwszy celu — przeżyję wielkie radości na myśl, że moja czysta dusza wpatrzona jest lunatycznie w coś majestatycznego i absurdalnego.

Nie poczuję kamieni pod swojemi stopami, nie usłyszę chichotu tych, którzy, obrabiając swój ogródek, uważają go za cały świat.

Niech cię to nie martwi, o moje dzielne ja, że nieraz wydasz się głupie i nieokrzesane. Genjusz nie zajmuje się dowcipną paplaniną, nie wydobywa z siebie wdzięcznych idejek, nie stara się nawiązywać do ostatniego numeru gazety lub do modnej akurat książki. Nie, nie!

Genjusz — to dziecko i warjat. Jest on genjuszem dlatego, że ma odwagę być dziecinnym i szalonym, że czasami musi się wydawać idjotą, głupcem, człowiekiem, dziwiącym się wszystkiemu i mówiącym rzeczy niezgodne z powszechnemi pojęciami.

Jednakże tylko genjusz, o moje ja, przeżywa te cudowne godziny, w których się zdaje, że Bóg przemawia naszemi ustami, gdy wszystko jest już światłem gdy wszystko się odkrywa, staje się jasnem i harmonijnem, jak przezroczyste wody rzeki. Są to godziny, gdy dusza zmienia się w ogień, będący istotnie ogniem, w powietrze, będące istotnie powietrzem, w miłość, będącą istotnie miłością. W godzinach tych, dzięki sile jakiegoś tajemniczego szaleństwa, wszystko okazuje się możliwe, wszystko się uświęca, a człowiek nie może już odróżnić, gdzie świat, a gdzie dusza jego, — gdzie jego dusza, a gdzie świat.

Cóż, czy nie widzicie teraz, jak nędzną i nikczemną zabawką jest wasz talent w stosunku do takich przeżyć? Za jedną taką godzinę, za jedną, jedyną taką godzinę, oddałbym cały mój talent, cały wasz talent, talent wszystkich błaznów, zaludniających ziemię!

Alfred Jesionowski

Obraz współczesnej literatury polskiej

„Obraz współczesnej literatury polskiej" Czachowskiego *) różni się zasadniczo od dyletanckiej choć obszernej pracy Feldmana, która już dziś nikogo zadowolić nie może. Różni ona się także korzystnie od pracy Antoniego Podoskiego, pracy znacznie lepszej od feldmanowskiej. (Dziś jej już nigdzie nabyć nie można). Zasadniczą różnicę stanowi przedewszystkiem punkt wyjścia Czachowskiego. Dla Feldmana autorowie są ilustracją epok i prądów literackich, i najwięcej miejsca w jego literaturze zajmuje właśnie ich charakterystyka. Dla Czachowskiego istnieje przedewszystkiem twórca, gdyż „dzieło artysty zależy od stopnia jego indywidualności, skala artyzmu zaś od jego talentu i świadomej pracy". Stąd składają się na „Obraz współczesnej literatury polskiej" Czachowskiego mniejsze i większe monografje twórców, krytyczne naświetlania pracy i talentu autorów pomniejszych. Stanowisko Czachowskiego, to nie stanowisko historyka literatury, ale krytyka. Jako krytyk pragnie „wniknąć w twórczość artysty i przedstawić ją... najpełniej i najwszechstronniej", a „wykonać to może najlepiej, rozwijając pełną charakterystykę danego twórcy".

Do tej pracy zabrał się Czachowski z ogromnym zapasem erudycji, świetną znajomością współczesnej i prawie współczesnej literatury, z intencją jaknajsprawiedliwszego ujęcia charakterystyk, choć się bynajmniej nie wyrzeka subjektywizmu w swej postawie krytycznej („w krytyce literackiej i artystycznej t. zw. objektywizm naukowy jest mrzonką"). Ten subjektywizm sprawia, że autor, mimo zapowiedzi „rzetelnego stosunku do własnej i cudzej pracy", staje się w niektórych wypadkach niesprawiedliwy, co postaram się wykazać w ciągu swego artykułu. (Oto co autor obiecuje: „Krytyka, choćby był wybitnym indywidualistą, obowiązuje sumienność i rzetelność w stosunku nietylko do własnej, ale i cudzej pracy. Jeśli ta ostatnia nie budzi w nim podziwu, winien jej conajmniej szacunek" — przyznać trzeba, że w większości wypadków stara się autor postępować według swej zapowiedzi). Do autorów współczesnych zalicza Czachowski wszystkich tych, których dzieło dotąd jest żywe i aktualne w najdosłowniejszem tego słowa znaczeniu, chociaż „ich doba należy już do historji", tych twórców obejmują tomy I i II. Należą do tej kategorji także i pisarze, których działalność się jeszcze dziś rozwija, ale którzy swą twórczość rozpoczęli znacznie wcześniej. (Najstarsi pisarze współcześni).

Gruntowność i dokładność pracy Czachowskiego ocenić można po materjale, który zgromadził do opracowania swego „Obrazu współczesnej literatury". Wykazy bibljograficzne, dołączone do charakterystyki każdego autora poważniejszego, są imponujące, nietylko pozycje książkowe i broszur, ale także czasopisma, ważniejsze artykuły prasowe. Materjał ten wykorzystuje Czachowski nader skrupulatnie. Często charakterystyka twórczości danego pisarza oparta jest na jego własnem dziele, na sądach bliskich współczesnych. Stąd przydługie niejednokrotnie cytaty, dobrane ze znakomitem wyczuciem i istotnie niezmiernie charakterystyczne. W innych wypadkach gros oceny twórczości pisarza oparta jest na głosach najbardziej sprzecznych z sobą krytyków (np. przy ocenie twórczości Przybyszewskiego, Żeromskiego), z których Czachowski wkońcu wysnuwa wniosek ostateczny, dając czytelnikowi zupełną swobodę w przyjęciu lub odrzuceniu tego wniosku. To inna zaleta zajmującej pracy Czachowskiego. Specjalną zaś wdzięczność winniśmy autorowi za naprawienie wielu krzywd, jakie wyrządzili różnym drugorzędnym pisarzom Feldman i Podoski.

Uderza to szczególnie w wypadku Gruszeckiego, inicjatora powieści regjonalnej, którego Feldman zbywa jako taniego feljetonistę. Czachowski, doceniając twórczość Gruszeckiego, autora wielu literackich dokumentów życia, wysunął Gruszeckiego na należne mu w naszej literaturze miejsce. Podobnie ma się rzecz z Niemojewskim, Ignacym Dąbrowskim, Nowickim, Porębowiczem (u Feldmana 2 wiersze) i wielu innymi pisarzami, którzy się sprawiedliwej oceny doczekali dopiero w pracy Czachowskiego. Takiegoż przesunięcia w klasyfikacji dotychczasowej dokonał autor w stosunku do szeregu drugorzędnych powieściopisarzy, wychodząc ze słusznej zasady, że „oprócz dzieł o niewątpliwych zaletach artystycznych w dziedzinie powieści niekiedy mają też znaczenie utwory t. zw. literatury potocznej, które poczytnością nieraz biją arcydzieła. Dla historyka kultury duchowej społeczeństwa takie poczytne powieści mogą być nawet objawem ciekawszym od utworów naprawdę wybitnych". Nic słuszniejszego — toteż i pod tym względem naprawił autor niejedną jaskrawą krzywdę.

Weźmy dla przykładu ocenę twórczość Rodziewiczówny: „Talent, polegający na zdolności tworzenia mitów, na umiejętności przekonywującego narzucenia czytelnikowi atmosfery baśniowej, w której — w ramach przytem życia codziennego — znajduje on zaspokojenie w każdym człowieku tkwiącej tęsknoty do czynów na miarę bohaterską".

I dalej: „wizja artystyczna znajduje u Rodziewiczówny zawsze wyraz tak sugestywny, a konstrukcja fabuły jest tak zajmująca, że zalety te przesłaniają braki natury przedmiotowej". Trudno o lepszą definicję twórczości autorki „Na wyżynach", „Dewajtisa" i in. powieści.

Ładne, trafne i zwięzłe definicje lub określenia całokształtu twórczości danego pisarza, to także pokaźna zaleta Czachowskiego-krytyka.

Do najlepszych i najtrudniejszych charakterystyk Czachowskiego zaliczyłbym omówienie twórczości Zapolskiej, Irzykowskiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego. Natomiast wyjątkowo jednostronnie wypadły charakterystyki Boya, Sieroszewskiego, Rzymowskiego, gdzie poprostu uderza brak krytycznego nastawienia autora, szczególnie wobec surowej i niesprawiedliwie szczupłej i niedokładnej oceny twórczości Weyssenhoffa, Miłaszewskiego, Wasilewskiego i kilku innych, którym autor nie może wybaczyć partyjności, kiedy partyjność właśnie u innych pisarzy stanowi dla Czachowskiego o ich wartości pisarskiej. Bardzo ciepło i serdecznie wypadły charakterystyki Niemojewskiego, Witkiewicza, Dygasińskiego, u których (podobnie jak u Sygietyńskiego), Czachowski podkreśla piękno stylu, dbałość o język. Częste podkreślanie właśnie zalet językowych u autorów uwidacznia się po raz pierwszy u nas w pracy Czachowskiego. Wielka to wartość w „Obrazie literatury".

W tem pobieżnem omówieniu pierwszych dwóch tomów „Obrazu literatury" zaznaczyłem tylko zgrubsza zalety i wady tej pracy, szczegółowiej omówimy całość po ukazaniu się tomu trzeciego i ostatniego. Ale już teraz stwierdzić możemy, że w pracy Czachowskiego zyskaliśmy niezmiernie cenną pozycję w dorobku polskiej krytyki literackiej, tem cenniejszą, że z małemi wyjątkami, z pełnem zaufaniem oprzeć się można zarówno na sądzie sprawiedliwym, umotywowanym, jak i na dokładności i sumienności w przedstawieniu rzeczy. Znakomicie opracowana bibljografja zaś może być cenną pomocą w studjach szczegółowszych.

---

*) KAZIMIERZ CZACHOWSKI: **Obraz współczesnej literatury polskiej.** 1884—1933. Tom I. str. 335. Tom II str. 442. Lwów 1934. — Państw. Wyd. Książek Szkolnych.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

ARLEN M.: Lilla Krystyna. Powieść. Przełożyła M. Kreczowska. 8° str. 332. Kraków 1935. Gebethner i Wolff. Zł. 8.—.

BUCK P. S.: Synowie. Powieść. Przełożył dr. J. P. Zajączkowski. 8° str. 378. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

CURZYTEK JAN inż.: Uproszczona książka do prowadzenia rachunkowości rolniczej. 4° str. 124. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Kart. zł. 3.—.

DEM: Szkoła szczęścia. Rewja propagandowa S. M. P. Żeńskich. 8° str. 87. Poznań 1934. „Ostoja". Zł. 1.70.

DMOCHOWSKI A. i ZIEMIĘCKI S. dr.: Przyroda nieożywiona. Wskazówki metodyczne dla nauczyciela z 57 ilustr. 8° str. 151. Wilno 1934. K. Rutski. Zł. 2.50.

DOMINIK H.: inż. Zdobycze techniki. Z 171 rys. Przełożył inż. Z. Chełmoński. 8° str. 341. Warszawa 1934. J. Przeworski. Zł. 9.—.

DROMLEWICZOWA Z.: Pięciu braci. Powieść dla dzieci z ilustr. 8° str. 227. Warszawa 1934. J. Przeworski. Kart. zł. 3.—.

GLIKSMAN M.: Walter Rathenau. Studjum krytyczne. 8° str. 215. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.—.

GLOSÓWNA Z.: Serca czarnych. Sztuka misyjna w 5 akt. 8° str. 40. Poznań 1935. „Ostoja". Zł. 1.—.

GLOSÓWNA Z.: Żółta misjonarka. Sztuka misyjna w 4 akt. 8° str. 38. Poznań 1935. „Ostoja". Zł. 1.—.

GRODECKI R.: Początki pieniężnego skarbu państwowego w Polsce. 8° str. 32. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.50.

GRUDNY J. B. C. dr.: Niemiecki dla wszystkich. Najłatwiejsza metoda języka niemieckiego. 8° str. 205. Warszawa 1934. Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich. Zł. 5.—.

IWANICKI K. inż.: Figura Chrystusa Frasobliwego z 95 rys. 8° str. 69. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 10.—.

KOPROCKI B.: Instynkt wychowawczy. 16° str. 56. Lwów 1934. Z. Igiel. Zł. 0.75.

KOZIOŁ ROMAN: Modelowanie drzewa w szkole powszechnej i gimnazjum. Przyczynek do zajęć praktycznych. Próby i wyniki. Z. I. z ilustracjami. 8° str. 61. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.—.

KAPROCKI B.: Tradycja. 16° str. 48. Stanisławów 1934. M. Haskler. Zł. 1.—.

KLEBANOWSKI S.: Co ma dać dzieciom szkoła powszechna? 8° str. 72. Warszawa 1934. Bibl. Polska. Zł. 1.50.

KLEBANOWSKI S.: Jak ma gimnazjum ogólnokształcące uczyć i wychowywać młodzież? 8° str. 58. Warszawa 1934. Bibl. Polska. Zł. 1.50.

KRAWCZYKOWSKI F.: Ćwiczenia cielesne dziesięciominutowe i śródlekcyjne w szkole powszechnej. Z przedmową M. Krawczyka. 8° str. 109. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 2.—.

MĘCZKOWSKA TEODOZJA: Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży. 8° str. 54. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 1.20.

NASIELSKI ADAM: Zielony lont. Powieść. 8° str. 252. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.—.

PRAWDZIC H.: Słowa czarne i czerwone. Poezje. 8° str. 37. Warszawa 1934. F. Hoesick. Zł. 2.50.

PAWLIKOWSKI M.: Okna. Serja I z 8 ilustr. 8° str. 109. Medyka 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

PIETRUSZCZYŃSKI Z. prof.: Uprawa rzepaku i rzepiku z 11 rys. 8° str. 86. Poznań 1934. W. Górski i G. Tetzlaw. Zł. 2.20.

Prawo o publicznych przedsięwzięciach rozrywkowych, z komentarzami, Ustawa o filmach i ich wyświetlaniu, przepisami o opłatach. Opracowali: **WŁ. CZAPIŃSKI i J. GRZYMAŁA-POKRZYWNICKI.** 8° str. 211. Warszawa 1934. Bibljoteka Prawnicza. Zł. 3.—.

SALIT S. inż.: Kolonja Izaaka, wieś powiatu Sokólskiego. 8° str. X + 104. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.50.

ROSSA E. Ks.: Choroby młodej duszy. Materjał do kazań i pogadanek. 8° str. 37. Poznań 1934. „Ostoja". Zł. 0.80.

RYLSKI-ŚCIBOR E. inż.: Zarys ekonomji rolniczej. Na podstawie przytoczonych w tekście prac i wykładów. 8° str. 192. Poznań 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 3.60.

RYMOWICZ Z. i ŚWIĘCICKI W.: Suplement do prawa cywilnego ziem wschodnich. 8° str. 298. Warszawa 1934. F. Hoesick. Zł. 12.—.

SCHOENFELD S.: Żywopłoty, szpalery i osłony z 29 rys. 8° str. 86. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.40.

SZIRMAI REZSÖ: Więzień z własnej woli. Przekład z węgierskiego R. Schuetza. 8° str. 212. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 3.90.

SZYMAŃSKI Z. dr.: Choroby tropikalne. 8° str. 162. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 6.—.

Uniwersalna książka kucharska: 1) Ochorowicz-Monatowa M. Uniwersalna książka kucharska. Przeszło 2200 skromnych i wytwornych przepisów gospodarskich i kuchennych. 2) Wiśniewska M.: Torty i ciasta domowe. 503 przepisy. 3) Kulczycka K.: Największy zbiór przepisów na konfitury, dżemy, galarety i t. d. 4) Czarnota Jan K.: Kuchnia jarska. 8° str. 731, 144, VIII, 148, 207. Lwów 1934. B. Połoniecki. Opr. zł. 30.—.

Ustawa o uregulowaniu prawa własności gruntów, oddanych w drodze parcelacji w posiadanie nabywców. Znowelizowany tekst, komentarz i motywy ustawodawcze. Napisał H. Świątkowski. 8° str. 38. Warszawa 1935. Bibljoteka Prawnicza. Zł. 1.—.

ZARZYCKA I.: Wschody i zachody. Powieść. 8° str. 253. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.—.

COURTS-MAHLER J.: Gdzie jest Ewa. Powieść. Przekład Eug. Solskiej. 8° str. 256. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.—.

Andrzej Mikułowski

Koniec starej Anglji

Ród Alardów*) sięgał swą tradycją wojen krzyżowych, w których chlubnie brał udział jego założyciel. Przechodząc różne koleje, niesiony zmiennym nurtem historji angielskiej, podnosząc się i podupadając, nie zdołał wejść w szeregi arystokracji, choć za Karola I otrzymał tytuł baronetów. Rodzina ziemiańska pozostała tylko rodziną ziemiańską, a kiedy Anglja zaczęła robić karjerę na kampanji wschodnio-indyjskiej, wzbogacili się na niej i Alardowie. Wiktorjański wiek mlekiem i miodem płynący przysporzył im jeszcze ziemi i ród zyskiwał coraz bardziej na znaczeniu, gdy nagle odwróciła się karta. Ceny zboża zaczęły spadać, przyszła ustawa agrarna Lloyda George'a, wreszcie wojna. Alardowie zostali panami na wielkich obszarach, obciążonych długami, gnębieni podatkami, podobni ostatnim przedhistorycznym zwierzętom-olbrzymom, ginącym wśród chmary drobniejszego, ale ruchliwszego i młodszego, a przedewszystkiem odporniejszego stworzenia.

Ostatni z Alardów miał czterech synów i trzy córki. Najstarszy, na którego barkach miała spocząć troska o majątek i tradycję rodzinną, zginął na wojnie. Młodszy więc przejął po nim to brzemię. Rodzina zmusza go do zerwania z kobietą kochaną i do ożenku dla pieniędzy. Małżeństwo z bogatą żydówką nie przynosi szczęścia ani jemu, ani Alardom. Kończy samobójstwem. Trzeci syn, który zgodnie z tradycją rodzin ziemiańskich angielskich, jest proboszczem parafji rodowej, umiera bezpotomnie w kłótni z ojcem, przed którym nie chce się ugiąć. Siostra jego najstarsza rozwodzi się z mężem, wojennym dorobkiewiczem, który również nie chciał ratować zagrożonej tradycji Alardów. Zły interes.

Starsi z rodzeństwa giną więc, przytłoczeni ciężarem setek lat tradycji. Młodsi zrywają z przeszłością i idą własną drogą. Syn najmłodszego nie chce iść do Oxfordu i zostać gentlemanem; marzeniem jego jest „Firma Alard and Co, fabryka uzbrojenia". Marzenie zczasem przybiera inne formy. Następuje olśnienie, odkrycie Boga w wierze katolickiej, Boga, którego ukrywa przed oczami wiernych zamarły w rutynie anglikanizm. Młody Gerwazy Alard przechodzi na katolicyzm i wstępuje do klasztoru. I kiedy staje przed obowiązkiem przyjęcia na swoje barki brzemienia tradycji Alardów i po śmierci braci zostaje hr. Gerwazym Alardem, sprzedaje majątek bez skrupułów. Siostra jego młodsza również zrywa z przeszłością i wychodzi za bogatego chłopa z sąsiedztwa: zarodek nowego ziemiaństwa.

Książka Sheili Kaye - Smith, w sposób barwny opisująca upadek ziemiaństwa w Anglji, zewszechmiar jest interesująca dla nas, patrzących na podobną sytuację w Polsce. Pałac Alardów, nie mogących zrezygnować ze stopy życiowej, odpowiadającej tradycji dawnego poziomu zamożności, stary zgorzkniały ojciec rodziny, pamiętający jeszcze czasy świetności i synowie starsi, wychowani w duchu tych czasów; sytuacja, w której mądra gospodarka, zaciśnięcie zębów i ograniczenie stopy życiowej do minimum pozwoliłoby uratować tradycję i większą część majątku — a niema możności zdobycia się na to — to rzeczy dobrze nam znane. Pójście po linji najmniejszego oporu, szarpanie się w trudnej sytuacji i robienie oszczędności na drobiazgach przy braku odwagi na zrobienie decydujących kroków— to polityka, na której i naszych rodów wiele się skończyło. Alardowie przymykają oczy na moralną stronę tradycji, aby ocalić materjalną. Usiłują ratować majątek przez małżeństwo z żydówką. Nie darmo jednak w starożytnym kościele w Winchelsea śpią Alardowie - krzyżowcy. Pożycie z kobietą krwi obcej doprowadza nadzieję rodu do samobójstwa. Tradycja broni się sama.

Stara Anglja ginie. Ani system majoratu, nie pozwalający na rozdrabnianie ziemi między liczne dzieci, ani duży jeszcze stosunkowo dobrobyt kraju nie są w stanie uratować kasty, skazanej na wymarcie. Typ ziemianina angielskiego, owego country squire'a, który był jednym z najdoskonalszych owoców kultury angielskiej, symbol angielskiej „hodowli człowieka" nie niższej od hodowli szlachetnego zwierzęcia, typ gentleman'a powoli wymiera. „Wiemy tylko, że ostatni smutni dziedzice jadą powoli ku morzu, a nowi ludzie zabierają ziemię" — tem mottem z Chesterton'a zaczyna Sheila Kaye-Smith swoją interesującą książkę.

Koniec starej Anglji — ale nie koniec Anglji. Gdzie jest Anglja nowa? Na to pytanie autorka nie daje dostatecznej odpowiedzi. Młode pokolenie powojenne zrywa z tradycją bez wahania, jest ona dla niego już tylko martwą literą. Córka wychodzi za chłopa, którego ród jest niemniej stary od Alardów, choć nie szlachecki. Ci umieją gospodarować, kochają ziemię i celem ich jest nie wyciągnięcie z niej ile się da własnego dobrobytu, ale danie jej siebie. Autorka odnosi się do nich z całą sympatją i w nich widzi spadkobierców ginącego ziemiaństwa. Czy słusznie? Industrjalizacja Anglji posuwa się tak szybko, że kto wie, czy wogóle będzie tam miejsce dla rolnika. Kto wie, czy po zniknięciu ziemian nie rozpocznie się emigracja ostatnich farmerów — do kolonij. Na dawnych ziemiach Alardów powstają fabryki Beaverbrooków i Melchettów, Beaconsfieldów i Readingów — nowa arystokracja angielska z pokolenia Izraela pochłania starą Anglję. Chyba że nastąpi Anglja nowa — kontynuacja najstarszej. Mała zielona wyspa, gdzie pracowity potomek dawnych Anglosasów uprawiać będzie pilnie ziemię, potrącając pługiem walające się resztki niegdyś wznoszących się tu fabryk. Przyszłość jest ciemna i przejrzeć jej niesposób. Teraźniejszość smutna i zbyt jaskrawo w tej szacie widoczna.

Na schyłek starej Anglji nie patrzy autorka z przerażeniem, raczej z żalem za czemś, co było i ginie bezpowrotnie. Nie widać jednak przywiązania do tradycji — raczej do wspomnień. Przebija niechęć do szkoły gentlemanów, niechęć do starych Alardów. Cała sympatja jest po stronie młodego pokolenia: córki, wychodzącej za chłopa i syna, przechodzącego na katolicyzm. Oboje łamią dwie najmocniejsze tradycje wiktorjanizmu: arystokratyzm i anglikanizm. Przebłyskuje nowa Anglja — katolicka, przewrót, jaki dokonywa się szybko i ogarnia coraz szersze rzesze. Syn marnotrawny powraca na łono kościoła rzymskiego. Sheila Kaye-Smith jest jednak dopiero w stadjum przejściowem: jest anglo - katoliczką. Postawa jej nie jest postawą chestertonowską, ową bezmierną radością życia, romantyczną walką o wielkie wartości, nawiązaniem do krucjat i rycerskiej Anglji — jest to pokorny surowy katolicyzm maluczkich, pogardzający tradycją, bez wahania burzący kilkusetletni gmach, budowany rękami pokoleń dla szczęścia, czy zbawienia dwojga ludzi. Gerwazy sprzedaje majątek i idzie do klasztoru — to zbyt łatwa droga. Za anglo - katolicyzmem Sheili Kaye - Smith kryje się purytanizm, aspołeczny w swem założeniu, wynoszący prawa jednostki ponad wszystko, pogardzający doczesnością, jednostronny. Ta nowa wiara nie wprowadzi przewrotu, nie odświeży ginącej starej Anglji. Ma ona też zresztą mało widoków rozwoju, jest krokiem przejściowym, pierwszą furtką, wybitą w zmurszałym chińskim murze anglikanizmu. Wraz ze starą Anglją giną ostatni purytanie; na ich miejsce pojawiają się ludzie nowi: odradza się Anglja celtycka, której obcy jest purytanizm i wypiera Anglję germańską. W jednym z nią szeregu kroczy Anglja rzymska z Chestertonem i Belloc'iem na czele. Odwet celtów przychodzi wreszcie po tysiącleciu i zmienia oblicze starego kraju. Oblicze nowe jest jeszcze niewidoczne, choć mglisto ukazują się jego zarysy. Zmiany w charakterze narodowym nie dokonują się z dnia na dzień.

Myśl wprowadzenia Sheili Kaye - Smith do naszej literatury był bardzo szczęśliwy. Autorka ta, która lekkością pióra nie ustępuje tak u nas popularnym autorom w rodzaju Locke'a, Florence Barclay, czy Elinor Glyn, a poziomem kultury przewyższa ich znacznie, wprowadza problemy interesujące, ma duży dar narracji i powinna zyskać szeroką popularnaść. Nie jest to klasa najwyższa, ale też dlatego ma dane na to, aby być czytaną nie przez snobizm, tylko ze szczerego zainteresowania. „Ród Alardów" (tytuł angielski „Koniec rodu Alardów" niewiadomo dlaczego zmieniony) nie rozszedł się w Warszawie zupełnie. Lwowskie wydawnictwo ukazało się na wiosnę bieżącego roku na wystawach księgarskich i znikło po kilku dniach, niezauważone przez nikogo, pogardzone. Rzecz dziwna bo to przecie książka angielska, ulubiony pokarm naszych snobów. Rzecz mniej dziwna, gdy zważymy jaką treść zawiera. Problem małżeństwa mieszanego wyraźnie postawiony, papierowy protestantyzm degenerujący Anglję i przeciwstawiony mu mocny katolicyzm — to kwestje, które zasługiwały w naszym literackim światku, czy półświatku na świadome przemilczenie. „Nie można przecie szerzyć zepsucia wśród mas".

Pomysł oddania przekładu p. Felicji Zielińskiej był bardzo nieszczęśliwy. Jest szereg interesujących inowacyj językowych, jak np. „krępy, **żebrowy** mężczyzna" (str. 15), **„woda owsiana"** (?), albo „sądzisz, że będziemy patrzeć, jak majątek **kawalcują**" (str. 368), wszystkie jednak wydają mi się mało cenne. Pozatem p. Zielińska nie umie po angielsku i nie wie, że księdza katolickiego tytułuje się w Anglji — „Father" — dlatego słowo to nie odpowiada naszemu „ojciec" i że „practically" nie znaczy „praktycznie" itp. Tajemnicza **„lora Forda"** (str. 66) jest to poprostu „lorry", czyli ciężarówka. Co gorsza jednak, p. Zielińska nie umie także po polsku, chociaż jest niesemickim unikatem wśród tłumaczy i pisze np. tak: „Gerwazy nie pragnął nigdy **uwydatniać swej męskości** przez siedzenie nad winem" (str. 22), albo opis obiadu: „rybę przedstawiały smażone **płaszczki(?)**, a **czomber** jednego z jagniąt Consterskich, czarna magja lunchu przemieniła w potrawę bez żadnego smaku" (str. 22). Korekta jest pozatem fatalna i ze szczególnem upodobaniem pastwi się nad obcemi wyrazami i przecinkami. Mimo wszystko jednak książkę warto przeczytać.

*) Sheila Kaye - Smith. Ród Alardów, przekł. Felicji Zielińskiej Lwów 1933 Bibljoteka Kresowa.

Miłosz Gembarzewski

Nieczytane, zapomniane...

To są powodzie, zalewy, copraw da bijące tylko wytryskiem jaskrawych barw z okien wystawowych, ale równie szerzące się na szpaltach sprawozdawczych, chłonące czas omroczonych czytelników owe... książki niepotrzebne.

Tłumaczenia trzeciorzędnych autorów zagranicznych, kompilacje pseudonaukowe wszystkiego, co na czasie, są przeciwstawieniem wydawnictw, będących wzbogaceniem kultury polskiej. Oprócz tworów rzeczywistego artyzmu i dzieł naukowych — współczesnych, ukazać należałoby światu wiele prac nieutrwalonych dotąd drukiem, niszczejących nieraz, których ogłoszenie rozstrzygnęłoby nasze tegoczesne polemiki, naprz. w dziedzinie historji: wiek 17-ty — wojny kozackie; wydać rękopisemne przyczynki do owej epoki; obok współczesnych znawców odezwaliby się ówcześni świadkowie wydarzeń, znajomi kniazia Jaremy, kamraci Skrzetuskiego.

Bibljografja pamiętników polskich Maliszewskiego podaje 461 niewydanych dotąd osobistych wspomnień z przeszłości; cyfra ta oczywiście w przeciągu kilku lat uległa zmianie, jednak nie zmniejszyła się, bo nie wszystkie zabytki z tej dziedziny były znane Maliszewskiemu.

Zaginęły już pamiętniki ministra Matuszewica, imieniem autora przywodzące na pamięć niezrównane dzieło kasztelana tegoż nazwiska; zniszczone wspomnienia Godebskiego. Jakże ciekawe, choć odległe latami muszą być wspomnienia „obersztlejtnanta" (z 1753 — 1755 r., Biblj. Ossolińskich) i pamiętniki Konrada Prószyńskiego („Promyka" — w posiadaniu rodziny); co nam powiedzą zapiski Wincentego Pola, i tylu innych?

„Dyaryusz czyli kronika o Początku Rebelliey Kozackiey", napisana koło 1682 r. przez uczestnika bitwy pod Żółtemi Wodami; rękopis w Bibljotece Ordynacji Krasińskich w Warszawie.

„Ile pamięć moia zaniesie"... po pięćdziesięciu latach przypomina autor, że gdy król Władysław IV zdobył Smoleńsk, pobiwszy naczelnego wodza moskiewskiego, Szechina, wówczas w jednym szeregu z Mazurami byli kozacy: „Z Nakaźnym Hetmanem Eliaszem Pereiasławskim przy Królu tamże dość szczyrze y rzeżwo stawali".

„A choć były Rebellie Kozackie niezregestrowanych Kozaków, tylko ze swywolników, z Łuhowych, Niżowych y Bezchwatników, po staremu na Niedźwiedzich Łozach przy Dnieprze y pod Kumeykami między Czerkasami y Mosznami tam ich pogromił Michał Potocki Hetman Polny, mało nie na głowę, y tak ich było wzięto w kluby".

Dalej autor wylicza komisarzów królewskich, będących władzą administracyjno - wojskową: Mielecki, Komorowski, Potocki, Zaćwilichowski, Szembek, dalej poczet pułkowników, gubernatorów twierdzy w Kudaku i oficerów tamtejszej załogi.

Wyrazem ówczesnej opinji publicznej są dane autora „Dyaryusza" o przyczynach wojen kozackich:

„Kanclerz Ossoliński, przed tą Rebellią na rok, włóczył się po Ukrainie, choć nie miał żadney swoiey Maiętności, tylko co w Kalinowszczyźnie. Był y za Dnieprem, y miał poszepnąć Kozakom: Alboście nie ludzie, albo nie macie dobrych Przywileiów od Króla, gdzie się owa Wasza podziała dawna odwaga, gdzie się podzieli w Dziełach swoich sławni Kozacy. A wtenczas to było kiedy Kozacy in summa opressione od Kommissarza y od Pułkowników swoich, tak że ich Starszyzna y Regestrowi Kozacy szukaią do Rebeliey sposobu. Schadzki swoie w Pasiekach y taiemne odprawuią Rady".

Intrygi Ossolińskiego wiąże pamiętnikarz z pobytem delegacji kozackiej (Perejasławski, Barabasz etc.) u króla z prośbą „o Wolność w Łuhach, o Pole y morze... co łacno od króla privatim otrzymali". Władysław IV bowiem gotował się w dogodnej chwili zerwać układy z Turcją, lecz sejm zniweczył te plany.

W „Dyaryuszu" dokładnie opisany wygląd i uzbrojenie ówczesnych Tatarów („orda licha... z masłakami, to iest kość wsadzona na gibkie drzewo..." etc.); Chmielnickiego wyparł jakoby pierwotnie, jedynie na swoją rękę, Tuchay-bey i Karasz-bey, a nie han krymski; Tatarzy pospieszali, by zebrać razem wszystkie swoje siły, ale, według rękopisu:

„Darmo pospieszali, bo iak umyślnie na nich czekał Pan Krakowski (t. j. kasztelan krakowski, nasz przypisek), nieustępował zawczasu, ani przy fortelu stanął. Wtenczas począł ustępować, kiedy im wszystka przyszła potęga".

W swym rodzaju klasycznym, jest wydany nam współcześnie Kulczyckiego „Dziennik dowódcy kompanji", doskonale obrazujący boje 1918 — 1919 r.; jednakże zasadnicze prawo podaży i popytu jest pominięte uprzywilejowanem wydawnictwem różnych tegoczesnych przyczynków i wspominków, wobec zaniedbania rękopisów, co daje możność przeciągania polemik nie tylko spowodu „Ogniem i Mieczem". „Dzienniki" dawnych „dowódców kompanij" — giną w rękopisie.

Niewątpliwie wskazanem jest pomnożenie drukowanych prac o „galicyjskich" spiskowcach 1831 — 48 r. i spopularyzowanie postaci ówczesnych działaczów patrjotycznych w Małopolsce, tak zapomnianych w porównaniu z rewolucjonistami i powstańcami z zaboru rosyjskiego; celowem więc byłoby wydanie pamiętników Henryka Bogdańskiego, austrjackiego więźnia stanu (rękopis w Zakł. Narod. Ossolińskich). Będzie istniała pewna miara porównawcza także linji i metod polityki polskiej w różnych zaborach: Wielopolski, który nigdy nie był za kratą rosyjskiego więzienia, nie umiałby jednak wobec cara wypowiedzieć słów, gładko wyrzeczonych przez układnego, b. więźnia stanu Florjana Ziemiałkowskiego:

„Sejm (galicyjski, mój przypisek) nie zawahał się najświętszą naszą spuściznę, ideę narodową, powierzyć Najjaśniejszemu Monarsze, w którego żyłach płynie także krew Jagiellonów, — który po Jagiellonach dzierży już koronę węgierską i czeską. Obowiązkiem tedy naszym jest, tak jak przyrzekliśmy, że stać chcemy przy Austrji, z lojalnością naszemu narodowi właściwą".

Imię, austrjackiego ministra Ziemiałkowskiego, który wypowiedział te słowa na sejmie lwowskim w 1866 r., przesłania dotąd nazwiska nieprzejednanych, dawnych jego kolegów, walczących po kres życia: Bogdańskiego, Stefana Kozłowskiego, Oleksińskiego i innych.

Istnieje zagadnienie podstawowe, w jakich granicach wolno fantazjować powieściopisarzowi: „Szkiełko mędrców" położono na romansie z 17-go stulecia. Chyba musi być zasadą, aby powieściopisarz nie przyciemniał swojemi rozumowaniami osobistemi rzeczywistości historycznej; można przytoczyć 100 przykładów samowoli: p. Gąsiorowski w „Szwoleżerach gwardji" (t. II, str. 40 — 41) parę stron poświęca na swoje rozmyślania o tym sławnym pułku i obraźliwie przedstawia samo-sierczyków, jako lichą zbieraninę, cytując sobie od niechcenia dobre nazwiska (Filleborn — Korwin i t. p.) na dowód swoich rozważań bezsensownych. Powieściopisarz - historyk może być bezstronniejszym od nieuczciwych pamiętnikarzów, którzy błędnie sądząc, że to nie będzie sprawdzonem, szkalują w swych „wspomnieniach" swoich przeciwników, jak to uczynił osławiony kłamca Jan Duklan Ochocki, z którym na równym poziomie stoi nędzny autor „romansów" pseudohistorycznych K. Bodzantowicz (t. j. Suffczyński).

Dobrem źródłem do poznania obyczajów staropolskich byłyby zapiski „Silva rerum" Józefa Buczyńskiego (rękopis w Biblj. Ordyn. Krasińskich), mniejwięcej współczesnego Duklanowi Ochockiemu. Ogromnie różnorodne są notaty p. Buczyńskiego: cytata listu „pewnego urzędnika" w sprawie dzieła „O skutecznym rad sposobie", sprawozdanie z konferencji delegatów senatu polskiego z posłem rosyjskim Repninem „o modyfikacji projektów" w 1767 r.; instrukcje posłom łomżyńskim, po których zaraz notatka: „1771 A. D. 24 Januari, iak śniegi okrutne spadły, ta sanna trwała bez naymnieyszego zepsucia się aż do dnia 14 Kwietnia, y na Wielkanoc która była 31 Marca, gdzie kto chciał ieździli ludzie przez Wisłę, przez Narew po wierzchu". Później opisany ceremonjał w czasie sejmu elekcyjnego, drzewo geneologiczne małżonki autora, Chrzanowskiej de domo, mowy ówczesnych matadorów politycznych (Rzewuski, Massalski etc.) i t. d. i t. p.

Jedyna w swym rodzaju pamiątka: „Błogosławieństwo Wielebnego w Bogu Xiędza Marka Karmelity I. P. Łukaszowi Podbielskiemu, Towarzyszowi Pancernemu od Konfederacyi Barskiey na potyczkę z Moskalami wysłanemu A. 1768 dane. W Imię Jezus. Pokój Chrystusowi, Miłość Jego, zdrowie doskonałe, Straż Aniołów Świętych za chwalność na woynie, ocalenie w attakach, dar Ducha Świętego w komenderowaniu, y Boskie Tobie Łukaszu daię y dawać nie przestanę z ołtarzowych Offiar Błogosławieństwo. Wszelkim zaś chorobom, zarazom, powietrzom, przypadkom, Krwią Jezusową surowy ordynans daię: Won, precz, na ustęp każę y przymuszam. X. Marek". — Tak ówcześni zapisali słowa bohatera dramatu Słowackiego; a zapiski Buczyńskiego, w których jest wiele danych o konfederacji barskiej, są świadectwem jednak wielce ograniczonego światopoglądu konfederatów, fanatycznych religijnie, a mniej myślących o idei niepodległości, wyraźniej uświadomionej już poprzednio, w pierwszem polskiem powstaniu, w wojnie t. zw. „sukcesyjnej" po śmierci Augusta II-go, w 1733 — 1736 r., gdy mąż stanu i wódz ówczesny Jan Tarło wielekroć przewyższał charakterem i talentem improwizowanych przywódców konfederacji barskiej.

Vox populi, dobitny nieraz, odezwie się z kart rękopisu, gdy np. pan sędzia płocki Dembowski (manuskrypt w Biblj. Krasińskich) zapisze: „JWM. Pan Stanisław Poniatowski, Stolnik Litewski, mianowany kandydatem do korony od Dworu Rosyjskiego przez X-cia Mikołaja Repnina Posła y Ministra".

Z bezpośrednich, odpowiednio wydanych źródeł należy czerpać wiedzę.

— Powinienbym nazwać pana...
— Czem pan chce — dokończył Sacher. — Ale powiedz no pan rejent jak wygląda taki pan, co jest kat dla dwie sierotki spowodu co jemu się psiewróciło w głowie. I zostawia ich na bruku? Przez głupie fanaberje.
— W pańskiem pojęciu honor, to są fanaberje?
Kalitrich obrzucił rejenta groźnem spojrzeniem.
— Ma pan pięć minut do namysłu, żeby zdecydować o naszym i własnym losie.
— No, zastanów się pan, do licha ciężkiego — błagał Jacobi — jeżeli się pan zgodzisz — jesteśmy bogaci. To sie czuje — to sie wie. Ja mam nosa.
— Spotkamy się w końcu roku w Paryżu, albo gdzieindziej na galowem przedstawieniu „*France la Doulce*".
Tardif skierował się bez słowa ku drzwiom, lecz u progu przypomniał sobie coś, bo zawrócił i stanął twarzą w twarz do akcjonarjuszów.
— Nie odejdę stąd, zanim nie powiem

wam w oczy, co o was myślę i jakiem mianem powinno się was nazywać.
— Co jest? o co chodzi? — szepnął Hermeticos.
— Można sze nazywać rozmaicie — to nima znaczenia — rzekł z lekkim uśmieszkiem Sacher. — Imiona możno zmienić...

milczeniu. Zamiast krzyczeć — ludzie się modlą.
— To ja sie ide modlić do pana...
— Nie chcę pana słuchać. Zabierajcie się stąd w tej chwili. Całe szczęście, że jest was tylko dwuch.
— Tak, bo Kalitrich i Hermeticos poszli prosto do hrabiny Kergael, żeby nie tracić czasu.
— Co? — ależ to nonsens. Muszę ją ratować.
Pan Tardif nie tracąc czasu na wkładanie płaszcza (co zwróciło uwagę sąsiadów) wybiegł pędem z domu, a wślad za nim pomknęli dwaj petenci.
Gdy przybyli przed bramę pałacyku Kergael rejent zwrócił się do swoich gości i założywszy ręce na piersiach, rzekł porywczo.
— Chyba nie mają panowie zamiaru wejść do obcego domu?
— Obcy dom? — wcale nie obcy—to dom wierzyciela — odrzekł Jacobi.
Tardif wzniósł ramiona do nieba i bez anonsowania wpadł do sali jadalnej, gdzie

byśmy domagali się powrotu Krona, którego nienawidzimy, gdybyśmy nie byli pewni że...
Rejent przerwał mu sucho.
— Panowie o nic mnie jeszcze nie prosili, więc radziłbym nie zaczynać, na taki temat rozmowy zemną.
— Musimy! — ryknął Kalitrich.
— Dosyć kpin — rzekł rejent, sięgając po portfel. Chyba nie wyobrażacie sobie, że ja który dostarczyłem ministrowi dowodów nieuczciwości tego oszusta będę teraz domagać się sprowadzenia go do Francji. Wstrętny pomysł! Minister nie jest pajacem.
Jacobi chwycił Francuza pod ramię i zaczął mu perswadować słodkim pojednawczym tonem.
— Panie Tardif — pomyśl pan chwilkę... Przecież pan niechce rujnować swoich pupilek... Masz pan okazję uratowania ich od ruiny... Sprowadź pan spowrotem Krona... do ojczyzny.
— Do „ojczyzny" — to zakrawa na bezczelność

XXII.

CNOTA NIE JEST CZCZEM SŁOWEM.

Wtejże chwili do pokoju wszedł pan Tardif. Jednem spojrzeniem szarych oczów ogarnął obecnych, poczem skłonił się sztywno i położył na stół safjanowy portfel.
— Panowie! — zaczął — przychodzę poraz ostatni, z żądaniem przedstawienia mi rachunków.
— Ciesz się pan panie rejencie. Mamy dobrą wiadomość dla pana — oznajmił Kalitrich, wręczając mu depeszę.
Pan Tardif odebrał ją, nie zdradzając wzruszenia.
— Znowu jakieś oszustwo — rzekł pogardliwie.
— Gwarantuję, że oferta jest poważna — wykrzyknął Jacobi — zastanów się pan! czy

siedziała sędziwa pani Kergael. Tak jak się tego spodziewał była właśnie napastowana przez dwuch wymownych obcokrajowców.
— Pani hrabino! — wykrzyknął — jestem oburzony, na tych zuchwalców. Przybiegłem na ratunek. Niech się pani niczego nie obawia.
— Ja się tylko boję, że oni się zaproszą na obiad — odpowiedziała staruszka.
— Dosyć marnych słów! — wrzasnął nagle Kalitrich, przeszywając ją strasznem spojrzeniem.
— Ratunku!... On chce nas zabić!..
— Nie proszę pani, chce tylko wytłomaczyć poco tutaj przyjechaliśmy. Nasz przyjaciel Kron sprzedał film, film należący do nas wszystkich. Sprzedał go w Ameryce, za grube pieniądze. Nikt się tego nie spodziewał. Jeżeli pozwolą mu wrócić do Francji — odzyska pani swoje pieniądze. Poco wzywać ratunku, skoro przywozimy pani miljon.
— Czy ten pan mówi prawdę? — zapytała zdumiona hrabina, podnosząc wzrok na rejenta.

XXIV.

KRÓLESTWO CIENI.

— Panowie — przemówił Jacobi — za chwilę ujrzycie arcydzieło — kartę z dziejów Francji. Laicy sądzą, że takie filmy nie wymagają wysiłku. Mylą się. Pracowaliśmy nad realizacją tego obrazu nadzwyczaj sumiennie. Pomimo że taśma ma dwa tysiące pięćset metrów — można nazwać ten super szlagier artystyczną minjaturą.
Jacobi chciał wywrzeć wstrząsające wrażenie na kiniarzach, którzy zamierzali nabyć nowy film. Kron zwrócił negatyw, reszte wykończono i udźwiękowiono jak się należy, a z tą chwilą kompanja Eterfilm mogła przystąpić do ofenzywy. Przestano pracować pokryjomu, ale otoczono się hałaśliwą i gadatliwą reklamą. Codziennie w fachowych pismach pojawiały się sugestywne komunikaty, wzmianki i fotosy, które działały jak ma-

ra portfele z kartonu, udającego skórę krokodyla, zawierające talję kart, wieczne pióro i lusterko, „za jedne dziesięć franków"... Może będzie biegać po prywatnych mieszkaniach z pończochami ze sztucznego jedwabiu!
— Kogo by tu zabić? — pytał sam siebie, śmiejąc się szatańsko.
U drzwi wejściowych zadźwięczał dzwonek.
— Idę otworzyć — rzekł Kalitrich.
— Jaki pan optymista — zauważył Jacobi, wzruszając ramionami — nie otwieraj pan. Może to wierzyciel.
Pomimo to Kalitrich pospieszył ku drzwiom. Powrócił niebawem, trzymając w krótkich i tłustych palcach błękitny telegram.
— Idę o zakład. Jakie wiadomości — jak myślicie? — dobre czy złe? Sobota 27 listopada. Siódemka to mój numer. Zawsze wygrywam na rulecie, stawiając na siedem, dwadzieścia jeden i dwadzieścia siedem. Mam 47 lat... Urodziłem się siódmego marca. Jacobi znowu wzruszył ramionami.
— Czytaj pan wreszcie.

— Wygląda mi na *„commercial cable"*... Jeżeli wiadomość dobra, to pan stawia śniadanie — rzekł Hermeticos.

— Zgoda, ale już zapłaciłem taksówkę.

Kalitrich powoli rozwinął tajemniczy transatlantycki papier. Przeczytał go, raz jeszcze obrzucił wzrokiem i uśmiechnął się.

— No! Czytajże pan.

Eter—Paryż.

„Nowy York, godzina 9 minut 35.

Proponuję nabycie filmu France la Doulce, międzynarodowa dystrybucja za pięćdziesiąt tysięcy dolarów z czego trzydzieści płatnych zaraz przez Equitable Trust Paryż pod warunkiem wolno mi wrócić do Francji.

Kron.

— Do stu tysięcy pluskiew! — wrzasnął po grecku Hermeticos.

— Kron nas złapał — westchnął Jacobi.

— Każdy kto dysponuje stu tysiącami franków mógłby nas w tej chwili kupić...

— *Konz e liran brehoneg* — wyrecytował z dumną miną.

— Pan mówi po bretońsku? — wykrzyknęła hrabina.

— Jak tilko gdześ przijade — to zaraz mówie po tamtejszemu, pani hrabino — odparł Sacher.

Hrabina parsknęła śmiechem, nawet Tardif uśmiechnął się nieco udobruchany.

— Trudno mieć do nich pretensje — odezwała się wreszcie staruszka — niech pan z łaski swojej zatelefonuje. Wyjaśnimy później naszemu kochanemu ministrowi znaczenie tej groteskowej historji. Jestem pewna że sam się będzie śmiał z tego guignol'u.

Nie tracąc czasu Kalitrich wydobył z kieszeni futra kartkę z telefonem ministerstwa, zaś Jacobi podał rejentowi słuchawkę.

— Jutro będę w Cherbourg'u i sprowadzę wam Krona — oświadczył Hermeticos.

— To kwestja kilku godzin — ciągnął dalej Kalitrich — Kron wyjechał z Nowego Yorku bez wizy. Jutro przybywa do Cherbourga. Sprawdzą że niema wizy, zawrócą go, a my zrobimy plajtę. Chyba — chyba, że ten uparty rejent zgodzi się zatelefonować do ministra spraw wewnętrznych i poprosi go, o odwołanie dekretu, o wysiedleniu.

— Pani hrabina niech sobie tilko pomyszli o swoich wnuczkach — perswadował Sacher — rejent to straszny człowiek... on ich chce puścić z torbami...

Hrabina najwidoczniej zachwiana zwróciła się do Tardif'a i ogarnęła go pytającem spojrzeniem. Rejent jednak był niewzruszony. Wyprostował się i rzekł surowo.

— Pani nie powinna ich słuchać. *L'areon int...*

— *Me bugale vihan. Ind hun groei pinuik bras martese...*

Porozumiewali się teraz w bretońskiem narzeczu, zamieniając szybkie, nerwowe zdania. Nagle, ku ogólnemu zdziwieniu do rozmowy wmieszał się Sacher.

— Gdzież on znalazł tyle forsy?...

— Może urządził jakieś *kindnapping*...

— Trzeba się zgodzić — rzekł jękliwie Jacobi.

— Do Francji — można i tak — szepnął Sacher.

— Dosyć. Nie chcę słuchać tego wszystkiego rzekł zimno Tardif i powstał z krzesła.

— Zgoda — odrzekł z tłumioną wściekłością Kalitrich. — Nasze i pańskie pasywa to kilka miljonów; nasze i pańskie aktywa — to niekompletny film, którego najlepszy fragment wyfrunął za ocean. Film nieskończony, nie nadający się do wykończenia, nie nadający się do sprzedania.

Jacobi czepiał się u ramienia Francuza i połwtarzał wkółko:

— Panie — to ruina.

— To plajta — dodał Sacher.

Rejent był nieubłagany.

— Nie będę się domagać od francuskich władz, aby wezwały spowrotem złodzieja, którego pięć tygodni temu wysiedlono z Francji. Nic — nic — za żadne skarby.

Jacobi obejmował teraz namiętnym uściskiem szyję Tardifa.

— Zastanów się pan — zrobimy wszyscy plajtę. Pan także...

„Widocznie zabłąkał się we mgle" — mruknął obojętnie. Ale w pół godziny później, w cichym domku rejenta zadźwięczał dzwonek, poczem rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Do przedpokoju wpadło dwuch osobników w skórzanych kurtach i lotniczych hełmach, poczem bez pytania wtargnęli do salonu, w chwili gdy pan Tardif, odstawiwszy filiżankę z kawą, zmierzał ku oknu. Poznał Jacobiego i Sachera. Przebrani byli za lotników.

— Panie Tardif! — krzyczał Sacher — słuchaj pan, mam coś ważnego, coś strasznie ważnego...

Zdumiony i zgorszony Tardif zwrócił im uwagę, że Ploermel to nie Paryż. Dziwacznem zachowaniem wywołują popłoch w dzielnicy.

— Zlituj się pan! — przylecieliśmy samolotem — jęczał Jacobi.

— Nie krzyczcie tak.

— Jak mam gadać, jak? kiedy ja mam zmartwienie — bronił się Sacher.

— Proszę pana — przerwał mu surowo Pan Tardif — u nas w Bretanji cierpi się w

XXIII

PLOERMEL PRZEBACZA

Od dnia swego powrotu do Ploermel pan Tardif nie miał wiadomości o „Eter-filmie". Minęły dwa tygodnie. Rejent pożegnał się z kapitałem i desperackim gestem wsunął pęk weksli, między papiery sukcesorów Kergael'a.

Noworoczne obrządki i proszone obiady związane z tem świętem wprowadziły pewne urozmaicenie w monotonję życia na prowincji, później zaś pochłonęła pana Tardif praca w notarjalnej kancelarji.

Ów historyczny dzionek rozpoczął się bardzo zwyczajnie. Od rana padał deszcz. Już o świcie przybywały do miasta chłopskie dwukołowe wózki, czyniąc hałas wielki, na brukowanej ulicy. Tardif obudził się na dźwięk zgrzytających na wyboistym bruku, kół. — „Sobota, dzień targowy" — pomyślał. Około drugiej usłyszał daleki pomruk samolotu. —

— Tak — my i pan robimy plajtę — potwierdził Sacher.

— Zginiemy... — rzekł ponuro Hermeticoś.

Kalitrich nie stracił rezonu.

— No a potem zmartwychwstaniemy. — Ale tylko my zmartwychwstaniemy. — Pan nie.

— Jakto?

— Gdy się ogłosi upadłość firmy — tłómaczył cyniczny Rumun — poczekamy troszeczkę, a potem sprowadzimy Krona. Trudno kogoś wysiedlić, ale sprowadzić spowrotem wysiedlonego gościa — to znacznie łatwiejsza sprawa. Wystarczy zapisać go do partji komunistycznej. No a potem założymy nową spółkę z Kronem i odkupimy film od likwidatora Eterfilmu.

Sacher również spieszył na sukurs koledze.

— Ja znam każdego likwidatora, w cały Paryż. Sam robiłem plajtę dwadzeszcza jeden raz. Dlatego mnie proszą zawsze na człoek rady.

Tardif wzrokiem spiorunował Sachera.

Adolf Nowaczyński

Kwaśniacy w Moszkopolis

ROK 3333

Przyjaciel Kościuszki, s p i r i t u s m o v e n s reform Sejmu Czteroletniego, autor popularnych „Śpiewów Historycznych", Polak i Amerykanin, napisał też jasnowidzącą wizję przyszłości, która powinna teraz wydaną być znowu w dwóch wydaniach:

Pierwsze wydanie drogie, omal luksusowe z ilustracjami Czermańskiego, z przedmową obecnego burmistrza stoł. m. Warszawy.

Drugie wydanie tanie (jak barszcz) popularne, drukowane najpierw w ilości 12.000 egzemplarzy, potem więcej.

Utwór Juljana Ursyna Niemcewicza (autora liberalistycznej franc-masońskiej powieści „Lejbe i Siora"), utwór, który się tu ma na myśli, nosi tytuł:

„Rok 3333, czyli Sen Niesłychany".

Już we wstępie do swej asymilanckiej powieści („Lejbe i Siora") przyjaciel pisał ostrzegawczo:

„Lud obcy, rozlany po całej przestrzeni kraju naszego — składający szóstą część ludności naszej ogólnej, a prawie ludność miast pomniejszych; lud oddzielny, nie tylko wiarą, ale językiem, ubiorem, obyczajem, lud, co odbiegłszy prawego Zakonu Mojżesza napoił się dzikiemi zagorzalców swoich przesądami, nie uznaje praw cywilnych ni sądów krajowych, nie uznaje chrześcijan za bliźnich, za ludzi, co z dzieciństwa wpajają w młodzież swoją zawziętą ku nam nienawiść, słowem lud składający niebezpieczne statum in statu, nie dziw, że wzbudził w innych krajach i u nas najżywszą i najtroskliwszą obawę. Każdy u nas się pyta, co będzie z imieniem Polaka, co się stanie z chrześcijaństwem, jeżeli lud ten zostawszy przy swej oddzielności, przy swojej nienawiści i grubych przesądach, mnożyć się i dalej będzie w takiej, jak dzisiaj progresji".

Dopiero jednakże w fascynującej antycypacji pt.: „Rok 3333, czyli Sen Niesłychany" daje J. Ursyn Niemcewicz swemu narodowi głęboko przemyślane ostrzeżenie, memento, do czego doprowadzą, o ile sobie inaczej nie poradzą, do czego dojdą przy całej swej niepodległości, ale przy takiej swej niepoczytalności względnie tolerancji, względnie poprostu matołkostwu, czyli kretynizmie (gromadzki uwiąd).

Utwór Niemcewicza to obraz stolicy Polski w przyszłości, który to obraz przewidział poeta aż dopiero w r. 3333 Chrystusowej ery, ale przerażony początkami tego, co oglądał dookoła, wtedy już alarmować się zdecydował. Lat temu 130!

DRYNDULKĄ PRZEZ MOSZKOPOLIS

Opowiastka zaczyna się od tego, że narrator po długiej niebytności wraca do miasta, które opuścił, gdy jeszcze panował król Stanisław August. Już przed rogatkami widzi jakieś olbrzymie nieprawdopodobne zmiany:

„Napróżno wolskich rogatek szukałem, na miejscu ich znalazłem nieforemną bramę, a raczej potężne wrota z okopconego wiekiem kamienia, na szczycie ich była herbowa tarcza przez dwóch lewjatanów trzymana. Długo starałem się rozeznać, coby się w polu ich mieściło, aż nareszcie odkryłem, że to były cycele (poświęcone sznureczki, które żydzi w kraju łapserdaków swoich noszą) dość kunsztownie wyryte. Na gzemsie dwa wiersze w hebrajskim języku, a pod niemi te słowa łacińskiemi literami:

MOSZKOPOLIS A. 3333".

Aby się dostać do środka miasta, poeta bierze małą, brudną dryndulkę. Okazało się, że dorożkarzem, mówiącym już trochę z żydowska, był potomek hrabiów Zamoyskich. I on to objaśnia teraz poetę, czego się może spodziewać w Warszawie i co zobaczy. Na Zamku rządzi Moszek XII-ty. Wojewodą warszawskim i „prezesem Rady Stanu" jest Icek Szmulewicz. Zaraz p o r e w o l u c j i, jak kraj tak i Warszawa, dostały się pod pełne panowanie żydów. Zaasymilowali się Sarmatowie zupełnie. Przyjęli obyczaje i wierzenia żydowskie. Spełniają najniższe funkcje społeczne u żydów, zdemoralizowani i spodleni. Chodkiewicze, Krasińscy, Lubomirscy i Sanguszkowie są „pachołkami żydów".

Po drodze Niemcewicz, jadący z Zamoyskim na koźle, spotyka oddział wojskowy jakby... Beturowców, Trumpeldorczyków, Rewizjonistów Żabotyńskiego:

„Oto z za rogu ulicy wychylił się tłum żydów na koniach, z włóczniami w ręku, w lisich czapkach i ładownicach, bez żadnego porządku jadących, dwóch trębaczów w podobnymże ubiorze jechało przodem, mieli oni trąbki, mało co większe od tych, któremi się dzieci bawią i raptem tak przeraźliwie zapisknęli w te trąbki, iż konie zaczęły się trwożyć i kręcić, jeźdźcy gubić pantofle, zsiadać, szukać ich po błocie. To zastanowiło i poczet ów wojenny, a zarazem i dorożkę moją. Cóż to się znaczy? — zapytałem przewodnika mego. — Jest to — rzekł — gwardja konna królewska, powracająca z zamku".

A domy w Warszawie, kamienice, „realności", posesje w czyich rękach?...

Może właśnie przejeżdża dorożka z Niemcewiczem przez ulice: Wapniarską, Węglową, Monopolową, Olchową, Źrodlaną..., K w a ś n ą? I wtedy dryndziarz Zamoyski odpowiada:

„Nikomu z chrześcijan nie wolno mieć ani ziemskiej, ani miejskiej własności — chyba, że żydem zostanie. Jakoż nie jeden, przyciśniony biedą, uniżony i spodlony ucîskiem, zapomniawszy, co winien Bogu i sobie, został żydem, zapuścił pejsaki i tak się dobrze k wa nad Talmudem, jak Jud najlepszy".

Tak to sobie nieco naiwnie J. U. Niemcewicz, jeden z tych od Konstytucji 3-ciego Maja, postępowiec, reformista, liberał „tolerant", rzecznik asymilacji, no, i co to ukrywać, raczej filosemita („Lejbe i Siora"), franc-masson imaginował przyszłość stołecznego miasta Judosłowian.

DRZEWIECKI I WASILEWSKA

A tu tymczasem właścicielem nieruchomości przy ul. Kwaśnej w r. 1934 jest nadal niejaki Rapowicz, a wszystkie niby posesje, domy, kamienice, majątki, dostatki i bogactwa są niby nadal w ręku Sanatów, w każdym razie Sarmatów i chrześcijan, przeważnie katolików, a djabli wiedzą, czy nawet nie kryptoendeków? (Bóg i Ojczyzna! Hehehe... Koń by się uśmiał). Tak przynajmniej sądzą i głęboko o tem są przekonani Henryk Drzewiecki i Wanda Wasilewska. I dlatego tak a nie inaczej napisali swe pierwsze książki. Co to jest zaś za miasto, którego życie proletarjackie opisują, z tego nie zdają sobie sprawy ani H. Drzewiecki, ani Wanda Wasilewska. Zdaje się, że przedtem nie byli w stolicach dwóch narodów wprost nieproporcjonalnie i miljon procent od nas bogatszych. W Paryżu nie byli w okręgach 18-tym i 19-ym ani w „Faubourg du Temple" na rue de Mignottes, rue Champsonet, rue de Belleville Rivoli (Ryfke - gasse) i t. p. W Londynie nie byli w East-End White - chapel, Missories, Magnolia - Street i tuż za Westminsterem. Kamerad Drzewiecki i towarzyszka Wasilewska, od nędzy i biedy specjaliści, nic jak gdyby nie wiedzą o tem, że to wielkie „miasto bogaczów" to najbiedniejsze miasto na kuli ziemskiej, miasto sproletaryzowanej inteligencji i pracowników fizycznych, miasto, w którem ponad 60 proc. żyje z najemnej pracy, gdzie zaledwie 40 proc. ludności płaci podatek dochodowy, 30 proc. bez pracy, 20 proc. robociarzy, 67 proc. mikroskopijnych „kupców" i „przemysłowców", a do 20 tysięcy ludzi mieszka w miejskich barakach.

Wogóle, co to jest Warszawa?

Największy konglomerat biedy z nędzą, o najmniejszej ilości hoteli, samochodów, telefonów, restauracyj, teatrów, kortów tenisowych, radjo - abonentów, lokalów rozrywkowych i o największem zatłoczeniu mieszkaniowem na jednym metrze kwadratowym. Bez żadnych już porównań z wielkiemi stolicami a tylko w zestawieniu z Hagą, Pragą, Kopenhagą, z Budapesztem, z Medjolanem, Madrytem, jedno wielkie skupisko proletarjackiej inteligencji i biurokratycznego kołnierzykowatego proletarjatu o najmniejszej konsumcji wszystkich wogóle darów Bożych i ludzkich. Gdyby nie tych 350 tysięcy zacnych żydowinów, jeszcze trzymających się jako tako i jak się to mówi „śmierdzących forsą", to byłoby jedno wielkie bajoro biedy, bryndzy, dziadostwa. Kontrasty socjalne tak minimalne, że jedni jeszcze się kąpią, a drudzy już nie lub jeszcze nie; o droższych gatunkach win, cygar, dywanów, butów, rękawiczek niema tu mowy, bo niema amatorów, Krezusy z C i t y taksamo jedzą flaki i kukurydzę, jak plebs na peryferji kupuje w sklepiczynach sardynki i ananas w ćwiartkach.

KWAŚNIACY

A tymczasem, i Drzewiecki, i Wasilewska tak jakby mieszkali w Bostonie, Honolulu, Melbourno, Florida, Palm - Beach. Dokoła widzą zionące przepaście klasowe. Drzewiecki (Rosenbaum), komunista, zachowuje jeszcze jaką taką objektywność, neutralność, spokój, takt i w doktrynerce swej nie przekracza granicy przyzwoitości. Jego powieść („Kwaśniacy"), czyta się bez irytacji i bez oburzenia, a co więcej ludzi z tej kamienicy zaczyna się coraz więcej lubić, współczuć im całem sercem, a są momenty, w którychby się ten i ów człowiek na stare lata przyłączył do ich pochodu i szedł z Ulicznym, i ze Skrzypkami, z Poradą i na barykady, i niech potem kule biją, raz w kozie, a raz kozie śmierć, było nie było.

Wprost przeciwnie przy lekturze tej Wasilewskiej. Lektor nie może wyjść ze zdumienia. Córka uczonego, klerka i historyka, wyjątkowo łagodnego, ewangelicznego, i inteligenta. Skąd u tej taka wściekłość, taka demonja? Środowiskowo - rodzinne podłoże? Ongi przyjaźń z I l D u c e, potem próba z teką ministerjalną, fatalny zawód, rozgoryczenie, rozejście się, więc chyba przygnębiająca atmosfera domowa, i stąd nienawiść do całego globu za „krzywdę" ojca? Dość, że dynamika nienawiści socjalnej w tym reportażu tak olbrzymia, a chorobliwość „światopoglądu" tak prostacza, nieznośna, natrętna, napastliwa, że przy lekturze „Oblicza Dnia" budzą się (bo budzić się muszą) najgorsze instynkty. Nietylko nie nabiera się najmniejszego współczucia i jakiejkolwiek sympatji dla tych dziewczyn gwałconych i dla tych jaskiniowców murarzy, ale wprost budzą się wszelkie złe instynkty burżujskie, apetyty karne i egzekucyjne, żandarmskie, pacyfikatorskie czy pacyfikcyjne. Z kwaśniakami owszem ot nawet na stałe, tak, jak „Baron" w „Na Dnie" Gorkiego. Z tymi od Wasilewskiej nigdy! I odrazu hasła: obrona cywilizacji, obrona Zachodu, Bóg i Ojczyzna, ład i porządek, klerki i sentymentalisty do budy, a głos mają gazy łzawiące i panowie oficerowie. I pomyśleć sobie teraz, że tamto napisał żyd i notoryczny komunista, a to córka Leona Wasilewskiego! Świat się kończy. A może zaczyna?...

„KAMIENICA" I „WŁASNOŚĆ"

Kto jednak przeczytał reportażową powieść Drzewieckiego i również reportażową spowiedź Wasilewskiej nie powinien się ograniczyć do tych dwóch książek, ale uzupełnić sobie wgląd w te sprawy i te światy jeszcze dwiema innemi pokrewnemi. Ma się na myśli E. E. Notha „Kamienicę" (wyd. „Ars" no, i Pantalejmona Romanowa znów arcyciekawą: „Własność", w tłumaczeniu oczywiście pana Lorie czy Lurie, ale w dobrem. Dopiero te cztery tomy tworzą pewną całość w każdym razie korespondują ze sobą, i otwierają naszym mózgownicom dalekie aspekty i ciekawe perspektywy. Co nieco piekielna, względnie czyścowa egzystencja Kwaśniaków powtarza się w niemieckich warunkach w koszarowej „Kamienicy" u Notha. Wegetują atoli standard of life oczywiście. Podczas, gdy nieszczęśni lokatorzy murowanego posesjonata Rapowicza z Kwaśnej" ciągną... pod cmentarz, Niemców... ciągnie z kasarnianej wegetacji ku życiu we własnem a t h o m e (na własnych śmieciach), ku willi z ogródkiem, ku choćby kawałkowi własnej ziemi... I ci, i tamci „zalegają z komornem" i dla jednych i dla drugich mizerota kamienicznik jest już uosobieniem ustroju kapitalistycznego, więc wcieleniem wszystkiego złego. Ale Kwaśniacy niemieccy wyzwalają się ze swego piekła w kierunku własnej „własności".

Mają zaś już tę „własność"... ci tam w Sowietach. Z powrotem. Po 17-tu latach. W bezklasowem marksistowskiem państwie spowrotem święte prawa własności. Przeszli przez erę kolektywnego „żałpłoszczadiowania" i miejskiego „upłotnienia" (zgęszczenia) i ze wstrętem i, obrzydzeniem, odwracają się od tego... o czem się marzy Wasilewskiej i Drzewieckiemu. Powiastka Romanowa poucza właśnie, jakimto powinien być taki nowy sowiecki realnościowiec - kamienicznik, posiedziciel nieruchomości a właściwie w ł a s n e j w i l l i, a jakim nie powinien. Bolszakow ma odstraszająco i odstręczająco przypominać... Ropowiczów i dawnych posiedzicieli Czuczujskich, a Koczerygin to wzór i model Marksistowsko - Stalinowskiego właściciela nieruchomości czyli posesji, ergo posesjonata.

COBY POWIEDZIELI

Pytanie: coby teraz ludzie z książki Wasilewskiej, ten Anatol, ta Anka, czy jak jej tam, powiedzieli, przewiezieni nagle aeroplanem pod Leningrad, czy Radekgrad, gdyby ich tam postawiono pod żelazne sztachety czy bramę w i l l i, Koczerugina i gdyby zobaczyli, jak ten idealny bolszewik „kultywuje swój żardenik", obcina pomidory, podlewa kalafiory i wogóle coś jakoś przypomina epiciera czy rentiera francuskiego. Już się tam zaczynają nawet ciągoty do... komfortu!..

W Warszawie cyfra zaległości podatkowych ze strony kamieniczników (kapitalistów) wynosi 79.5 proc. Biedny bogacz Baytel! Jak to się mu pokończyło marnie! Kamienicznikiem po śmierci zostaje ostatecznie każdy, kto w Boga wierzy, bo pod kamieniem leży, na którym wyryto D. O. M. (dom).

Bismark powiedział ongi o Polakach: „Dziwnie lekkomyślny naród i niedbały o dobra doczesne, stąd poszło, że stał się Eldoradem dla żydów".

Już trzydzieści lat temu powstał w Warszawie ulotny dwuwiersz:

„Nasze sklepy i kamienice,
wasze kościoły i ulice..."

W powieści Drzewieckiego Rosenberga administrator domu i w pewnej mierze zły duch kamienicznika nazywa się Rubin; w rzeczywistej rzeczywistości administratorami warszawskich nieruchomości bywają przeważnie Sarmaci, a posiedzicielami właśnie Rubiny, o grubych seidenbeutlach czyli jedwabnych sakiewkach pełnych mamony.

Ceterum censeo: byłaby już pora i konjunktura dla napisania wzruszającej powieści o szlachetnym kamieniczniku, w której to powieści znalazłaby się i dodatnia sympatyczna postać dzielnego heroicznego policjanta. Takich powieści o dobrym policjancie w literaturze angielskiej jest kilka. Tytuł naszej byłby: „Sierżant Paliwoda".

Niemcewicza: „3333 czyli Sen Niesłychany" należałoby wydać jeszcze przed Nowym Rokiem. Nie wydadzą głupi (Goyim), to wyda mądry F lub P...

Eugenjusz Byrski

Architektura na ekranie

W jednej ze swoich notatek podróżniczych z przed paru lat André Maurois, opisując niezwykłe piękno katedry w Rouen, przypomina znany zresztą fakt, że Claude Monet „fit a Rouen un long séjour, dans une des maisons, qui font face au grand portail de la cathédrale, et qu'il y peignit celle - ci sons cent aspect divers..."

Z arówno Maurois (w artykule wspomnianym), jak i Monet starali się jeden piórem, a drugi pendzlem oddać i wyrazić czar niezwykły, zaklęty przed wiekami ręką średniowiecznego architekta w kamieniu francuskiej katedry. Każdy zresztą, komu nieobce są wspomnienia z pobytu w mieście średniowiecznem, wie, jak trudno oprzeć się urokowi ciasnych zaułków, wąskich kamienic, ulic krętych, o fantastycznej perspektywie. A w dali, ponad dachami katedra gotycka ów „étrange fantôme", poemat z iryzowanych kamieni, spatynowanych chłostą ulew i wichrów siedmiu wieków.

Niema sztuki, któraby nie siliła się dotrzeć do dna tego uroku, zgruntować głębiny wrażeń, jakich dostarcza ludziom współczesnym poezja katedry średniowiecznej. Impresjonizm w muzyce i malarstwie był wspaniałym hołdem, składanym jej przez kompozytorów i malarzy wszystkich narodów. Rzeźba świecka i religijna nie otrząśnie się bodaj nigdy doszczętnie z pod wpływów swej średniowiecznej siostrzycy. Sztuka odrodzenia religijnego musi zresztą prędzej lub później nawiązać do historycznej spścizny średniowiecza, której dorobek kulturalny i artystyczny nie został przecież wyzyskany, ani nawet „przezwyciężony" w najmniejszej mierze przez człowieka współczesnego.

Co do teatru: widowiska pasyjne w Oberammergau „Jedermann" grany na stopniach katedry Salzburskiej — doskonale chyba charakteryzują rolę średniowiecznej katedry w pracy nad odrodzeniem teatru.

Literatura czasów nowożytnych piórem swych najświetniejszych pisarzy służyła pięknóści sztuki gotyckiej. Notre Dame de Paris, Chartres, Rouen, Sainte - Chapelle, — ileż razy opiewano owe „kantyczki z kamienia ku chwale Boga".

„Cantique de pierre a la gloire de Dieu" — tak pisze Iwonna Serruys w „Pour vous" z dnia 13 września r. b., donosząc o nowym krótkometrażowym filmie reżysera francuskiego André Vigneau. Jest to 350 metrów taśmy, opiewającej katedrę w Chartres. „Na długości 350 metrów zawrzeć film o katedrze w Chartres, wyrazić w nim jej wielkość i uduchowienie: takie zadanie przedsięwziął André Vigneau, zadanie, wymagające tyleż odwagi, co skromności, tyleż wstrzemięźliwości, ile umiaru. Gdyż należy wybierać, a wybierać, — to znaczy wyrzekać się reszty".

Reżyser poświęcił film głównie rzeźbie figuralnej zewnętrznej, pełnej „rozsłonecznionego liryzmu", aby pokazać ją od pełni światła aż do zmierzchu. Jego film — zdaniem autorki artykułu — niema w sobie nic z suchości dokumentarnej, daleki jest od nudy wykładu archeologicznego, narzucającego objektywowi rygory chronologiczne.

Święci, wykuci w kamieniu portalu, przesuwają się jeden przed drugim przed naszymi oczyma, wnętrzne nawy świeci smukłością filarów. Wreszcie witraże, ukazane w kolorach, zamykają barwną kadencją pieśń najmłodszej muzy, śpiewaną najstarszej — architekturze.

Z rzeczową krytyką obrazu wstrzymać się musimy, rzecz jasna, do chwili, w której będziemy go mogli ujrzeć. Sam jednak radosny fakt nakręcenia podobnego filmu, wyzwala drzemiące w nas oddawna jakieś nieokreślone nadzieje, jakieś pragnienia, aby i w Polsce, kraju świetnej, ale nieznanej prawie architektury — mogła narodzić się podobna idea. Naród francuski najwyższy wzlot swego ducha religijnego wcielił w nieposzlakowane piękno katedry gotyckiej, której wizerunek jest znany wszystkim ludom cywilizowanym. Teraz, nawiązując sztuką najmłodszą, pełną utajonych możliwości, do źródeł prawdziwego natchnienia, znajdującego swój świetny wyraz w architekturze średniowiecza, raz jeszcze daje świadectwo prawdzie o ciągłości historycznej dziejów wielkiej kultury Zachodu.

Piękno p o l s k i e j architektury, jej kościołów, pałaców, miast i wsi jest nieznane, świeci znakomitym, ale uporczywie skrywanym blaskiem ścisłej wiedzy w pracach Akademji Umiejętności i Zakładu Archiktektury Polskiej...

Kiedyś próbowano pokazać nam na ekranie w jakimś dodatku zamek w Podhorcach, z okazji zdaje się uroczystości ku czci króla Jana III. Ileż pokus — sądzimy — przezwyciężyć musiał reżyser, aby skierować objektyw gdzieindziej, przenieść ponad wspaniałe piękno tych murów jakieś aktualności, drobne „riens", zdarzenia „ze świata".

Wiosną roku bieżącego zato na jednym z pokazów filmów „awangardowych" ujrzeliśmy czeską „symfonję architektoniczną" osnutą na tle fragmentów zamku na Hradczynie. Obrazek ów powitano życzliwie zapewne ze względu na świeżość jego tematyki, jakkolwiek założenia formalne, usiłujące wyrazić się w pewnej jednolitości wyrazu, narzuciły tej ciekawej skądinąd próbie piętno monotonji i nudy.

Milszy wszakże będzie widok owych kamienic i bastjonów szacownych, choćby w słabem opracowaniu, niż tysiąc gładkich, wytwornie zaondulowanych, ale przeraźliwie banalnych buź, „odkrytych" przez pp. Biskego i Wywerkę...

Anegdoty teatralne

„Les Nouvelles Littéraires" drukują interesujące wspomnienia sędziwej, paryskiej aktorki, Marji Samary. Wśród wspomnień przeplatają się sprawy poważne i wesołe. Samary opowiada o znajomości z wybitnymi literatami i artystami Francji, a obok tego kreśli barwnie życie teatru. Pełno tu anegdot.

Marja Samary grała pewnego razu w „Ruy Blasie" Wiktora Hugo i miała na sobie ciężki robron z aksamitu. Przy jakimś gwałtowniejszym ruchu spódnica oberwała się i spadła na podłogę. Pod spodem miała wprawdzie aktorka, zgodnie z ówczesnym sposobem ubierania się, kilka nakrochmalonych spódnic, lecz nie pozostało jej nic innego, jak przejść przez leżącą na ziemi suknię i uciec ze sceny najbliższem wyjściem.

Nie podniosło to patetycznego nastroju romantycznego dramatu. Tembardziej, że publiczność była dość wesoło nastrojona już przez akt pierwszy. Samary miała modlić się przed obrazem Matki Boskiej, ale mając krótki wzrok, nie spostrzegła, że rekwizytor zamienił ten obraz z portretem króla. Tam, gdzie miał być wizerunek Matki Boskiej, postawił portret królewski i odwrotnie. Uklękła zatem Samary na miejscu wyznaczonem w czasie prób i — do portretu, zdobnego w olbrzymie czarne wąsy, zaczęła mówić słynną apostrofę:

„Wspomóż mnie, Gwiazdo Morza, ginących Nadziejo...!"

Gdy po szmerku na widowni zorjentowała się, że coś jest nie w porządku, było już zapóźno. Trzeba było apostrofę skończyć — nie roześmiawszy się samej, mimo homerycznego śmiechu, jaki porwał audytorjum.

Skoro była mowa o tragikomicznych wypadkach ze spódniczkami warto przypomnieć, że ubiegłej zimy podobną przygodę miała Fedyczkowska, śpiewając w „Manon" w teatrze Wielkim. W chwili, gdy Fedyczkowska przygotowywała się do śmierci w amerykańskich prerjach, oberwała się jej spódniczka. Nie było rady — trzeba było spódniczkę naciągnąć i umocować na oczach całego teatru.

Wiktor Podoski

Przed stu laty

Tak zwany „kącik dla pań" w dzisiejszych pismach codziennych, naprawdę chyba nikogo, prócz pań, nie interesuje. Ilustracje tam zamieszczane, zwykle bardzo kiepskie, mają charakter jedynie rysunkowej informacji. W czasopismach specjalnych, inaczej „żurnalach mód", rysunki są bardziej okazałe, choć przeważnie ściągane, ale i te zeszyty, po roku, gdy aktualność ich minie, stają się makulaturą. Dawniej było inaczej i dlatego dawne sztychy i czasopisma poświęcone modom kobiecym interesują teraz... raczej panów. Panów, którzy kobietom zwykli poświęcać niewiele uwagi — zbieraczów i bibljofilów. Możnaby zaryzykować twierdzenie, iż bibljofil woli kobietę sztychowaną, niż żywą, zwłaszcza, gdy sztych jest rzadki.

Istnieją rozmaite działy zbieractwa, w zakresie książek i rycin, rozmaite pasje, nieraz dziwaczne i dość specjalne, ale zamiłowanie do zbierania rycin, poświęconych modom, jest wśród bibljofilów różnej rangi dość powszechne. I nie dziwota: te małe rycinki wykonywano **w oryginalnych** technikach graficznych, **ręcznie** je potem **kolorując.** Artysta zwykle się podpisywał. Toteż taka rycinka jest dziś wcale łakomym i wyłapywanym kąskiem, poluje na nią wielu i często nabywa nawet nie zbieracz, a przygodny amator: poprostu, by ją oprawić i powiesić, jako grafikę, dekorującą wnętrze mieszkalne.

Dzieł poświęconych ubiorom i kostjumom bibljografia oczywiście zna wiele i to od czasów najdawniejszych, ale nas w tym wypadku będą interesować wyłącznie czasopisma poświęcone modom, jako ulegające najszerszemu rozpowszechnieniu i najbardziej z życiem codziennem dawnych epok związane. Zwłaszcza okres końca XVIII-go i początku XIX stuleci obfituje w takie wydawnictwa, zwykle w formie tygodnika wychodzące, z dodatkiem co tydzień jednej ryciny, wraz z objaśnieniem. Tygodnik taki zawierał rozmaite krótkie opowiadania, wierszyki, wiadomości ze świata, kronikę, ciekawostki, fraszki, uwagi, zagadki, anegdoty i t. p. Treść oczywiście dość błaha, ale dla poznania obyczajowości epoki materjał nieraz nieporównany! Zresztą sami zaraz zobaczycie, gdyż mam zamiar przytoczyć fragmenty z takiego właśnie tygodnika polskiego, z 1829 roku. Nie znajdziemy w nim utworów znakomitych luminarzy pióra, ale przeciętną ówczesnego poziomu, ogólny ton tła epoki maluje takie czasopismo bardzo dobrze.

Dla mód kobiecych wtenczas Paryż także był wzorem, więc też ówczesne pisma w tytule bardzo często mają słowo Paryż, w rozmaitych odmianach, a już wszelkie ryciny z reguły posiadają nagłówek: „mody paryskie", choćby je odbijano w Warszawie, lub Moskwie. Bez mała pół wieku wychodził taki „Journal des dames et des modes"; obecnie za komplet 45-ciu roczników (jeśli się zdarzy) antykwarjusze niemieccy żądają 3200 złotych. Nasi pradziadowie nie szanowali gazetki, a teraz my musimy za to płacić. We Francji wydano w 1817 roku, w formie podłużnego albumu książkę „Le bon Genre", o charakterze satyrycznym; są to już scenki rodzajowe. dowiadujemy się z nich, co panie robiły w ówczesnym IPSie, lub u fryzjera. Oddzielne ryciny z tego wydania są dziś b. poszukiwane. Anglja ma oczywiście swoje „British Fashions", ale nas, ze zrozumiałych względów najwięcej interesować będzie Polska. Mnie, jako bibljofila potrosze, również te rzeczy interesowały. Ponieważ nie mam pretensji do absolutnej wiedzy z zakresu polskiej kostjumologji, pytałem tego i owego ze znajomych zbieraczy, lub antykwarjuszy, czyby o czemś podobnem nie słyszeli Niewiele mi umiano na ten temat powiedzieć, nieliczni przebąkiwali o jakiejś „Pszczółce" wileńskiej, której w życiu na oczy nie zdarzyło mi się widzieć. Natomiast w ostatnim roku, naogół szczęśliwym dla mnie pod względem „gravures des modes", trafiłem, nie na „Pszczółkę" coprawda, ale na również latające stworzenie — **„Motyla".** Nabyłem 26 numerów (pół rocznika) tego czasopisma, które wychodziło w Warszawie, co piątek w 1829 roku.

Ze wszystkich wyżej przytoczonych względów, plus brak takich pism w dawnej Polsce, możemy uważać „Motyla" za pewnego rodzaju rzadkość. Do każdego numeru dołączono rycinę, z objaśnieniem, w językach: polskim i francuskim. Ryciny te wykonane zostały w litografji, przy ul. Leszno N 660; rysowali Adam Leśniewski i Juljan Rabcewicz. Ryciny sporządzane sposobem litograficznym są, w porównaniu ze sztychem, mniej pewne w kresce, zato kolorowano je z dużem wyczuciem. Koloryt ładnie sharmonizowany, swemi zaletami nieraz przewyższa kolorystykę takich samych obcych rycinek.

Jeden z tomów rozpoczyna artykuł o wychowaniu dzieci. Autor jest przeciwnikiem krępowania niemowląt w powijakach, bo powiada, że „bezwładność i przymus członków tamują tylko cyrkulację krwi i humorów..." Narzeka, że młode matki nie chcą same karmić i wmawiają swym mężom, że to jest bardzo niebezpieczne: „Mąż, któryby śmiał zezwolić, aby żona karmiła dziecię byłby człowiekiem zginionym, grałby rolę zabójcy, chcącego jej się pozbydź". Dalej powiada, że jednak pierś to jeszcze nie wszysiko, bo: „czylić dziecię jednych tylko piersi macierzyńskich potrzebuje? te zastąpi lada kobieta, bydlę nawet"...

Zresztą znajdziemy tu również i słuszne uwagi, tylko często w dziwaczny sposób wypowiedziane.

Ciekawe są opisy strojów w specjalnych feljetonach p. t. „Mody". Oto strój Zbigniewa: „Był to modny, obcięty półtużurek, koloru nadziei, do pantalonów, koloru chmury potopowej, przy rękawiczkach koloru zazdrości". Dla panów robią w Paryżu kamizelki „znaiome pod nazwiskiem kamizelek czterech pór roku. Na jednej daią się widzieć bławatek, konwalja, róża, tulipan, brat i siostra i para motylów: pomysł ten będzie miał wielką zaletę; ponieważ ułatwi płci pięknej naukę historji naturalnej".

„Byczy" jest wierszyk: **Ojciec do córki,** w dzień imienin:

„Ósmy rok skończyłaś w Maiu
Dziś są twoie imieniny,
Życzę ci, nie dla zwyczaju,
Najszczęśliwsze miej godziny.
Córką jesteś drugą w rzędzie,
Mówię z tobą poufale,
Trzecia siostra nie przybędzie,
Bo was nie chcę skrzywdzić
w dziale".

Ale najwięcej wyrazu może ma „Kronika wypadków", przez równorzędne zestawienie ze sobą różnej doniosłości zdarzeń.

Oto kronika z dnia 1 — 14 listopada: **„Rosja.** Podług gazety literackiej rosyjskiej, Rosja miała przy końcu 1828 r. 62.600.000 ludności. **Anglja.** Pan Foellwarth, mechanik królewski, w Londynie, wynalazł nowy gatunek sikawek ogniowych. Zgon pana Dawe, najbogatszego z żyjących malarzy. **Francja.** Wynaleziono w Paryżu gorsety damskie, które za pomocą sprężyny do razu rozsznurować można. **Polska.** Zawieszenie buńczuków Tureckich w kościele Metropolitalnym w Warszawie. Bank Polski zniża procent z sześciu na pięć od sta. Pan Hersfeld, nauczyciel robótek Damskich i podwójnego wiązania.

Z dnia 29 listopada: **Rosja.** Przekład sonetów Mickiewicza na rosyjskie przez Jana Kozłowa w Petersburgu. Kapelusze Damskie, na przedaż wystawione, maią bydź wewnątrz opatrywane stęplem woskowym, dla zapobieżenia defraudacjom. **Francja.** Zgon chemika Vaguelin. **Anglja.** W kawiarni Lloyds zaasekurowano słonia. **Polska.** Dom zarobkowy za Wolskiemi Rogatkami, pod kierunkiem Fryderyka Skarbka. Zgon W. I. X. Woronicza, Prymasa Królestwa Polskiego. Nowa Łaźnia parowa Pani Seeligman. Latarnie astralne w ogrodzie Saskim. Pan Sztattler, malarz Polski w Krakowie już się talentem odznacza.

Z dnia 30 sierpnia: **Rosja.** Poddanie się Adrjanopola wojskom Rosyjskim. Wzięcie Trebizondy przez wojska korpusu Generała Paszkiewicza. **Anglja.** Powóz pana Gournej odbywa 17 mil angielskich po piaskach na godzinę. Machina parowa, ważąca dwa luty w Bedford. **Niemcy.** Benefis teatralny na wydobycie Dyrektora teatru Lipskiego z aresztu. **Polska.** Installacja Kommissji na na umorzenie długu narodowego. Pierwsze zdanie sprawy z 8 miesięcy działań Banku Polskiego. **Francja.** Pan Virej wydał ciekawe pisemko o dobrowolnem podnoszeniu się niektórych paiąków w powietrze. Autor przypisuje ten fenomen sile rudlowej, która jest w czterech parach nóg paiąka, a któremi wznosi się w powietrze".

Narazie dosyć.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Sztuka życia

Unikajmy snobizmu

Niedawno spotkałem się z moim przyjacielem Maciejem, artystą malarzem. Rozmowa dość szybko zjechała na tory osobistych wynurzeń.

— Źle się czuję psychicznie — wyrwało mi się ni stąd, ni zowąd — widocznie nie umiem się w życiu urządzić; dobrze, że ciebie spotkałem artystyczna duszo, bo to wy artyści stoicie w obliczu nieskończoności na pograniczu dobrego i złego, poławiacze Boskich fiuidów...

— A widzisz — podchwycił z triumfem Maciej.—Życie, to nie latwa sprawa, zwłaszcza, gdy się ugrzęzło po uszy w snobizmie. Twój zaniedbany wygląd potwierdza to w zupełności.

— Zaniedbany? O nie, to ja raczej mógłbym powiedzieć o tobie, twoje dziwaczne ubranie...

— Pleciesz głupstwa — przerwał mi Maciej gwałtownie — Jesteś zaniedbany właśnie dlatego, że wszystko co masze na sobie, jest drogie, wykwintne i pachnie „Old England'em". Nabytą w sklepie elegancją usiłujesz przysłonić swoją wewnętrzną pustkę, w której niema za grosz smaku, indywidualnego gustu, wdzięku, prostoty, czyli tych wszystkich walorów, które się składają na dobre samopoczucie. Nic też dziwnego, że gnębi cię niepewność.

Przytłoczony nawałem tych trafnych niestety spostrzeżeń, odpowiedziałem tonem rezygnacji:

— Ha, trudno, może masz słuszność, chciałbym z tobą o tem pomówić obszerniej, czy nie zechciałbyś zatem wstąpić ze mną tu oto do Bristolu i przy butelce szampana...

— Owszem, tylko po pierwsze nie do Bristolu, bo tam wysiadują same snoby, i nie na szampana, który jest dobry ale dla szewców. Mam lepsze wyjście i bardziej zmierzające do celu. Idę właśnie do hrabstwa Y. Hrabia Michał z małżonką są ludzie w najlepszym stylu, bez odrobiny snobizmu. Pójdziemy razem, zobaczysz, jak ludzie żyją... ale to twoje ubranie, dodał z odcieniem wahania, lustrując niechętnem okiem moją wytworną sylwetkę... — no jakoś się zrobi. Chodźmy.

Zaciekawiony poszedłem.

Hrabiostwo Y. przyjęli mię powściągliwie, ale gdy Maciej w kilku słowach wyjaśnił eksperymentalny cel mojej wizyty, oboje rozpogodzili się natychmiast i jęli traktować mię z pedagogiczną wyrozumiałością.

Już po chwili płynęła towarzyska rozmowa, której sam dałem początek skromnem zapytaniem.

— Państwo zapewne bawili latem na letnisku?

— O tak, właśnie przyjechaliśmy z mężem niedawno — odpowiedziała małżonka hr. Michała.

— Państwo byli nad... morzem czy też może w Krynicy?..

— Ach skądże znowu, któżby tam jeździł, przecież całe wybrzeże morskie a zwłaszcza Krynica, są pełne mieszczuchów i żydowskich snobów, bawiliśmy oboje z mężem w Hajdawerach, to taka wioska pod Zdołbunowem, pełna swoistego uroku.

— Czy byli państwo może na filmie z Marleną Dietrich?

— Ach cóż znowu, nie posądza nas pan chyba o brak gustu... — odparła hrabina tonem urazy — na Marlenę Dietrich posyłam moją służącą Ludwikę. Otóż byliśmy w kinie „Migdał" na peryferjach, wyświetlali stary film ze Smosarską, bardzo było zabawnie...

— A potem pewnie kolacyjka u Simona?

—Alež panie... jak panu właściwie na imię?

—Roger.

— Bardzo pospolite imię, jest pan niepoprawny. panieee.. Roger. Otóż nie chodzi się do Simona, bo tam przychodzą same snoby, zresztą zdaje się, że mówiłam, że byliśmy u „Rudego Moszka".

— Co to jest?

— Boże, ten człowiek nie wie, gdzie jest „Rudy Moszek" — wykrzyknęła prawie z rozpaczą — na Gnojnej, panie, na Gnojnej, to taka znana knajpka, pełna swoistego charakteru.

— Ach tak, coś, słyszałem — wykręcałem się niezręcznie.

— Otóż u Moszka było bosko — przemówił wreszcie hrabia Michał.

— Było dobrane towarzystwo, kilku dyplomatów, minister M. z małżonką, no i jak zwykle jenerał Buława. Graliśmy w „Durnia"...

— Tańczyłam dużo i piłam mój ulubiony samogon... miałam nad ranem w głowie miły szmerek... — dodała hrabina, śmiejąc się uroczo.

— Czy zauważył pan nowe dzieło naszego mistrza? — zwrócił się do mnie hrabia, wskazując na ujętą w ramy płaszczyznę na ścianie, — to obraz Macieja — dodał, patrząc na dzieło z zachwytem.

Zbliżyłem się z zainteresowaniem. W ramach widniały dwie gładkie plamy, czerwona i zielona, na jednej z nich czerniał drobny punkcik.

— Spójrz pan... jakie to wspaniałe — mlaskał hrabia z zachwytu, odchodząc od obrazu i przechylając z lubością głowę — piękne rozwiązanie wzajemnego stosunku do siebie dwóch płaszczyzn i jakie niespotykane dotąd połączenie barw, ale najbardziej mistrzowskie pociągnięcie, to ten punkcik, właśnie tam, gdzie trzeba, mocny akcent w tej kompozycji... o Maciej to mistrz!

— Podoba mi się ta suknia: czy to „polski len?" — strzeliłem komplementem w kierunku hrabiny.

— O skądże znowu, też pomysł, czyż mogłabym nosić coś tak banalnego, przecież to neofitki obnoszą len po mieście. Moja suknia, niech pan sobie wyobrazi, jest uszyta ze zwykłej rogoży, takiej, jak się używa do pakowania mebli.

— Wspaniały pomysł — zachwycił się Maciej, — a czy wiesz kochanie, z czego jest ten szalik, który mam na szyi? No zgadnij.

— Ładny w tonie, ale doprawdy nie wiem.

— Zwyczajna ścierka do mycia podłóg.

— Och, to wspaniały pomysł, pozwolisz, że go skopjuję.

Rozmowa przybrała ożywione tempo, zaczęto się prześcigać coraz to innemi pomysłami. Jedne były śmieisze od drugich. Nie wiedząc co z sobą począć, utkwiłem spojrzenie w czarny punkt na obrazie Macieja i po chwili, o dziwo, punkt sfrunął z czerwonej płaszczyzny. Była to pewnie mucha, ale przemilczałem ten szczegół, bojąc się, aby nie strzelić głupstwa.

— Nie palisz papierosów? tylko co...

— Zwykłą machorkę mój drogi, to arcyzabawne, a ty widzę używasz wciąż jeszcze mieszczańskich zapałek.

— Tak, a ty?

— Zwyczajnej hubki i krzesiwka... aha...

— To świetne, czy macie jeszcze te piękne terrjery?

— Ktoby tam chował terrjery, są tak oklepane, każda kupczycha spaceruje dziś z terrjerem... mamy wspaniałe wiejskie kundle... łaciate... chodźcie tu pieski... Burek! Łatka!

— Cudowne psiaki, cudowne, zamawiam szczeniaka.

— Nie z tego, wszystkie zamówione.

— Masz dowcipną koszulę, z czego to?

— Z materaca, a twoje spodnie?

— Z worka...

— Czy macie jeszcze waszego Packarda?

— Zwarjowałeś, każdy gudłaj dziś marzy o Packardzie, my używamy zwykłej „hulaj nogi", to bardzo miła jazda, a wiesz Błażej, to jeździ na wózku paralitycznym, mówi, że to bardzo wygodnie...

— — — — — — — —

Wyszedłem od hrabiostwa Y. oszołomiony. Ileż prostoty... ileż oryginalności i wdzięku w tych ludziach... Przecież to jasne, że razem z całym swoim „Old Englandem" wyglądałem przy nich, jak fryzjer!

Wróciwszy do domu, przewróciłem kopniakiem, pierwszy, jaki mi się nawinął stary Biedermajer, poczem splunąwszy na brzydkie szkice Matejki, które szpeciły ściany mego domu, zabrałem się do dzieła. Blady świt zastał mię przy pruciu sienników i materaców. Musiałem przecież zdobyć materjał na wytworne spodnie...

Janusz Minkiewicz

Rezerwat satyry

Do mej działalności młodzieńczej,
Do mej satyrycznej potencji,
Zaczęły się wtrącać ostatnio
Paniusie z inteligencji...

I dzwonią do mnie co rana,
Budzą i nudzą te ździry,
Że w Polsce — proszę ją pana —
Brak p o z y t y w n e j satyry,

Że łatwo, — młody człowieku —
Drwić jest i z wszystkich żartować,
Lecz trudniej nowe wartości
Stwarzać i piórem lansować!

Więc dobrze. Kiedy miljona
Na naszej loterji się dogram,
To kupię Państwo na własność
I wierszem ogłoszę swój program.

Najpierw się zajmę szkolnictwem:
Szkoły niech starcom dokuczą!
W mem państwie dzieci niech rządzą,
A starcy niechaj się uczą!

My, młodzi władać będziemy
Bez sejmu, polityki, sporów —
Jedyna władza, co będzie,
To dyktatura... humoru!

Zniosę w mem państwie pieniądze,
Wybory i moc innych lichot —
Jedynym zaś głosem ludności,
To będzie śmiech tylko i chichot!

A w dalszym ciągu programu,
Mniejsza o budżet, o władzę,
Mniejsza o wojsko, o prawo —
Z tem sobie łatwo poradzę!

Lecz przedewszystkiem utworzę,
Jeśli dopisze mi werwa,
Gdzieś w Tatrach lub na Polesiu
Odosobniony rezerwat!

Tam, tak jak w żywem muzeum
Będą do kupy zebrani,
Wszyscy ważniejsi z sanacji,
No i... endecy kochani!

Będą tam mogli się kłócić,
(Niech każdy władzy tam liźnie!),
Pozwolę im robić tam wszystko
To, co dziś robią w ojczyźnie!

Niech śpi Akademja tam cała,
I Miriam przez sen niech znów gada,
Niech grzmi na rodaków Grzymała,
A Szyfman teatry zakłada!

Wśród nich niech się będzie przechadzać —
Krzywicka — żałośnie, lecz dumnie;
Wolno jej będzie pisywać
Na mnie (bezpłciowe!!!) kalumnje!

Będą omijać ją zgodnie
Bebek, z socjałem, endekiem...
A dalej już kłócić się będą
Pan Stroński z ministrem Beckiem!

Wielu tam jeszcze działaczy,
W mym rezerwacie umieszczę:
Sławek tam również się znajdzie,
A nawet... już wiecie, kto jeszcze!...

Bo gdybym ich wszystkich nie zebrał,
Umilkłyby dźwięki mej liry:
Na kogóżbym bowiem miał pisać,
W mem państwie zjadliwe satyry?...